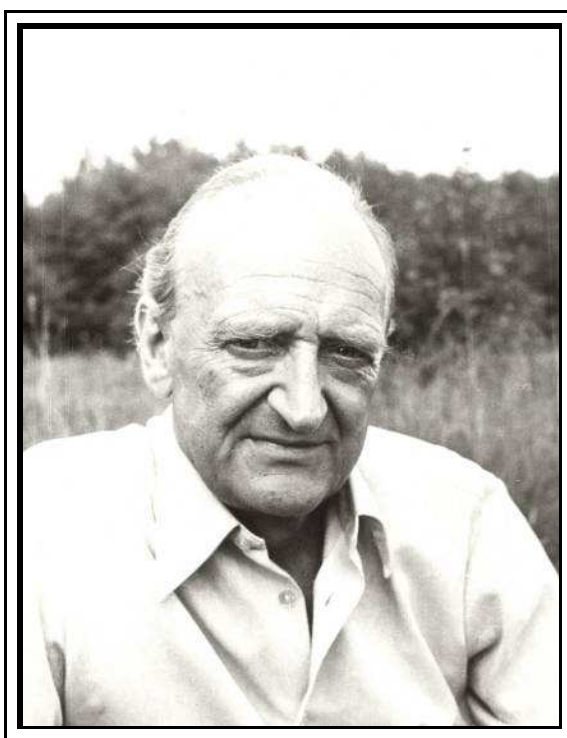


WSPOMNIENIA O EUGENIUSZU PAUKSZCIE



„Wspomnienia o Eugeniuszu Paukszcie”, które właśnie trzymacie Państwo w ręce, są wynikiem realizowanego przez Stowarzyszenie Przyjaciół Gminy Koczala projektu pt. „Razem Pauksztę czytamy, swoje dziedzictwo odkrywamy”. Projekt ten otrzymał dofinansowanie z Fundacji Wspomagania Wsi w ramach konkursu „Kultura Bliska 2008”.

Choć w ostatnich latach Eugeniusz Paukszta i jego twórczość była nieco zapomniana, jego osoba, a szczególnie powieść „Wiatrołomy”, opisująca piękno przyrody tutejszych ziem i często pogmatwane losy okolicznej ludności, wielokrotnie przewijała się w rozmowach z naszymi znajomymi. Dlatego bardzo ucieszył mnie fakt, że jest grupa osób z profesor Bożeną Górczyńską-Przybyłowicz i Józefem Pożogą na czele, chętnych do podjęcia próby przywrócenia autorowi należnej mu pozycji wśród czytelników w naszej gminie.

Cieszy mnie, że nasze Stowarzyszenie podjęło się tego tematu, gromadząc wokół niego wiele osób i instytucji. Już sama obecność na symposium syna pisarza pana Dominika Paukszty z rodziną oraz pełna sala słuchaczy dała nam olbrzymią satysfakcję i poczucie, że nasz wysiłek opłacił się. Jestem pewien, że uda nam się zorganizować jeszcze niejedno spotkanie zgłębiające naszą wiedzę o twórczości Eugeniusza Paukszty.

W imieniu Stowarzyszenia życzę miłej lektury.

Prezes
Janusz Zieliński

Dominik Paukszta ***Środowisko życiowe i przestrzeń twórczości pisarskiej mojego Ojca***

Niniejszy tekst oparty jest na wystąpieniu Dominika Paukszty podczas sesji, która miała miejsce w czerwcu 2007 roku na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. A. Mickiewicza. Tekst został opublikowany w książce pt. "TEREBINTY PROZY POZNAŃSKIEJ. Roman Brandstaetter, Przemysław Bystrzycki, Eugeniusz Paukszta", Wydział Teologiczny, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań 2007 (ISBN 978-83-60598-90-0)

I. Przypomnienie mniej znanych faktów z życiorysu Eugeniusza Paukszty

Do chwili śmierci mojego Ojca w 1979 roku, a także jeszcze przez kilka późniejszych lat nie można było publicznie przedstawiać wielu faktów z Jego życia. Dlatego chciałbym przypomnieć te najważniejsze, głównie z okresu wojennego i powojennego, akcentując przede wszystkim to, o czym nie można było napisać przed 1989 rokiem.

Wilno i Wileńszczyzna to miejsce dzieciństwa i młodości. Tak głęboko utrwalił się ten obraz w pamięci i w sercu Ojca, że już w wieku dojrzałym nie chciał odwiedzić Wilna pozostającego poza granicami Polski. Jeden z przyjaciół Ojca dobrze to rozumiał, komentując: „*przecież powracając do Wilna, serce mogłoby mu pęknąć*”. Tam przecież rozpoczynał studia, przerwane przez wojnę. Był uczestnikiem wojny obronnej w 1939 roku. Nie skorzystał z zaistniałej możliwości wyjazdu za granicę tuż przed zajęciem Wilna przez Niemców i uniknięcia wojennej niedoli. Czynnie zaangażował się w działalność konspiracyjną i partyzancką w ZWZ i AK, współredagował między innymi prasę podziemną i uczestniczył w akcjach dywersyjno-sabotażowych. W styczniu 1941 roku moi Rodzice przyjęli sakrament małżeństwa, który został im udzielony przez Sługę Bożego Henryka Hlebowicza, konspiracyjnego kapelana akademickiego, księdza świetlanej pamięci i wielkich cnót.

4 sierpnia 1942 roku Ojciec został aresztowany przez Gestapo i osadzony w więzieniu „Łukiszki”. W lutym 1943 roku został wywieziony do Prowianiszek pod Kownem, gdzie przebywał do wiosny 1944 roku, ratując się ucieczką z obozu. Jesienią 1944 został znów aresztowany, tym razem przez NKWD, więziony był również na Łukiszkach, które w tym czasie były więzieniem NKWD. Niedawno, w 2006 roku, dzięki staraniom Pana Profesora Grzegorza Straucholda otrzymałem kserokopie dokumentów z teczki Ojca prowadzonej w latach wojennych przez NKWD. Obecnie prowadzone są badania nad tymi dokumentami.

Mojego Ojca spotkało zesłanie do obozu w Zagłębiu Donieckim

(Magdalenówka, Szychta Woroszyłowa), z którego ciężko schorowany powrócił do Wilna w listopadzie 1945 roku. W tym samym miesiącu w ramach repatriacji moi Rodzice przenieśli się do Gliwic. Po krótkim pobycie w Gliwicach, w ciągu którego Ojciec zdążył zostać radnym tego miasta, już w 1947 roku, głównie za namową pracujących w Polskim Związku Zachodnim Czesława Pilichowskiego i Edwarda Serwańskiego Rodzice przenieśli się do Poznania, miasta, które stało się Ich nową małą ojczyzną. Po latach Ojciec wyznał: *„Jako adaptowany Wielkopolanin czuję się dumny, że mogłem i rozumem, i uczuciem związać się z ziemią, która była zarzewiem, nosicielem, a wreszcie w głównej mierze realizatorem dzieła Wielkiego Powrotu”* [E. Pauksza – „Rozumem i sercem” Impresje nie tylko osobiste, Poznań 1976]. Napisał również o związku z nową małą ojczyzną: *„serdecznie związany z Wielkopolską, która dla tułacza stała się drugą ojczyzną...”*. Ojczyzną nie jedyną, bo takimi małymi ojczyznami stały się również Warmia i Mazury, Ziemia Lubuska, także po części Pomorze.

Rozpoczęte studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie przerwała wojna, w domowym archiwum pozostała legitymacja nr 225/P wystawiona na rok 1939/40. Dowód akademicki nr 651 Wydziału Prawno-Administracyjnego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu wystawiony w marcu 1946 świadczy o drugiej próbie podjęcia studiów. Ojciec był słuchaczem Instytutu Wyższej Kultury Religijnej w Poznaniu (nr albumu 159, rok akademicki 1946/47). W latach 1949-51 moi Rodzice studiowali na Wydziale Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ojciec studiował równolegle historie i filozofię.

Po wojnie Ojca spotkały represje ze strony władz powojennej Polski, dwukrotnie był aresztowany i więziony przez Urząd Bezpieczeństwa. Pierwsze aresztowanie miało miejsce w 1948 roku. Ojciec został zatrzymany podczas urlopu spędzanego w Gliwicach, przez miesiąc był przetrzymywany w Katowicach na Mikołowskiej, po czym przewieziony do Poznania i po kolejnym miesiącu pozbawienia wolności został zwolniony z aresztu. Drugie aresztowanie miało przebieg dramatyczny, ponieważ Ojciec został porwany na ulicy w dniu 10 stycznia 1950 roku. Matka interweniowała na wszelkie sposoby, rozgłaszając tę wiadomość wśród bardzo szerokiej rzeszy znajomych, śląc pisma do wszelkich urzędów. Napisała także pismo do Ministra Bezpieczeństwa Publicznego Radkiewicza. To postępowanie było bardzo niewygodne dla UB, może właśnie takie „hałaśliwe działanie” Matki uratowało życie Ojca, zwolnionego z aresztu w dniu 20 stycznia 1950 roku.

Mój Ojciec dwukrotnie kandydował w wyborach do Sejmu, po raz pierwszy w 1947 roku z listy nr 6 Katolików (wspólnie z Wojciechem Kętrzyńskim i Witoldem Bieńkowskim). Dziesięć lat później po raz drugi kandydował jako bezpartyjny kandydat poznańskich środowisk twórczych. Uwierzył w odnowę i w

to, że nie miejsce na liście, lecz ilość oddanych głosów będzie decydować o wynikach wyborów. Po apelu Gomułki o wybór pierwszych sześciu kandydatów popieranym przez PZPR zrezygnował z dalszych wystąpień przedwyborczych odnotowując w prywatnych notatkach zdanie: „**Po apelu Gomułki o głosowaniu tylko na pierwsze lokaty - zrezygnowałem ze spotkań, już jako fikcji!**”. Dziś, patrząc z perspektywy lat, podziwiam Ojca – że pomimo tylu doznanych krzywd z różnych stron, potrafił wykrzesywać w sobie entuzjazm, pogodę ducha, optymizm i chęć działania w wielu dziedzinach.

Tuż po śmierci Ojca wraz wspólnie Matką zostaliśmy poddani niełatwemu wyzwaniu. 22 maja 1979 roku, dwa dni przed pogrzebem, przekazano nam, że KW PZPR oczekuje świeckiego obrzędu. Treść przekazu była krótka: jaki pogrzeb, taka wasza przyszłość. Nie ulękliśmy się. W ostatniej drodze mojego Ojca 24 maja 1979 roku na Cmentarzu Junikowskim uczestniczył Jego Eminencja Biskup Tadeusz Etter, wygłaszając podniosłą mowę nad otwartym grobem.

II. Świat wartości

Wychowywałem się w rodzinie o dużych tradycjach patriotycznych. Na przykład, Ignacy Klukowski (prapradziadek ze strony matki) był rotmistrzem Wojsk Polskich, uczestnikiem Powstania Listopadowego, a na emigracji wraz z Adamem Mickiewiczem organizował Legiony Polskie w 1848 roku. Antoni Klukowski (pradziadek ze strony matki) był generałem, zesłanym na Sybir za udział w spisku, którego celem było niedopuszczenie transportu wojennego skierowanego przez władze carskie dla stłumienia Powstania Styczniowego.

Mój Ojciec także pamiętał ze swoich najmłodszych lat, że w jego rodzinnym domu wisiała powstańcza szabla otaczana najwyższym szacunkiem. Ojciec sam zadał pytanie w opublikowanych wspomnieniach: „**Skąd w Wilnianinie, przeżywającym dramat rozstania z rodzinną ziemią, tak nagle rozbudowany sentyment do innej ziemi, do Północy i Nadodrza? Skąd zapal działania w tej właśnie dziedzinie?**”. Nieco dalej odpowiedział: „**Po prostu istniało zadawnione od lat przedwojennych umiłowanie polskiej historii.**” [E. Pauksza – „Rozumem i sercem” Impresje nie tylko osobiste, Poznań 1976].

Polskość, patriotyzm i kult walk patriotycznych - to były wartości dla Ojca naczelne, wręcz obsesyjne. Stąd także brało się wyjątkowe podejście do symboliki polskiego żołnierza, ale także do wojska. Wielokrotnie słyszałem z Jego ust, że „polska krew - niezależnie od tego - czy została przelana na wschodnim czy zachodnim froncie, ma tę samą wagę”. Dedykując mi jedną z powieści napisał: „**... Dominikowi, by nigdy nie bał się prawdziwego, w imię Prawdy i Ojczyzny - a to jest jedno - szlachetnego buntu, choćby wszystko trzeba było rzucić na szalę - bardzo, bardzo kochający Cię Ojciec.**” I jeszcze inne słowa: „**Dominikowi, by**

zawsze pamiętał, iż to co w dobrze najwyższe - to polskie.”

Moi Rodzice olbrzymią wagę przykładali do kultywowania tradycji, i w wymiarze świąt Bożego Narodzenia oraz Wielkiej Nocy, jak również w pielęgnowaniu tradycji wyniesionych z ukochanej Wileńszczyzny.

Wielką wartością dla Ojca było umiłowanie przyrody. Las i woda to były Jego żywioły. Rozkochany był przyrodzie Warmii i Mazur, Ziemi Lubuskiej jak i wielu miejsc w Wielkopolsce i na Pomorzu. Nieprzypadkowo właśnie Ziemia Mazurska została przez mojego Ojca tak bardzo ukochana z uwagi na wielkie podobieństwo do pagórkowatej, zalesionej i bogatej w jeziora Ziemi Wileńskiej.

III. Środowisko życiowe, atmosfera domu rodzinnego

Ojciec tylko przez kilka pierwszych powojennych lat miał stałą pracę. W późniejszym okresie zrezygnował z pracy na etacie i utrzymywał się wyłącznie z pracy literackiej. Z jednej strony dawało to pewną niezależność, z drugiej - powodowało olbrzymie stropy, z jakimi wiąże się niepewność w zapewnieniu środków do życia dla rodziny, którą sam utrzymywał. Ojciec nie miał też żadnego zabezpieczenia materialnego czy to ze strony rodziny, czy wsparcia finansowego, z jakiego często korzystali twórcy pozostający w opozycji do władz i ustroju. Bywało, że przez kilka miesięcy w domowym budżecie nie było jakichkolwiek dochodów i trzeba było żyć „na pożyczkach”. Z najmłodszych lat pamiętam, jak pożyczaliśmy pieniądze od wielu osób. W domowym archiwum znajdują się pamiętki o tym świadczące. Na przykład, Roman Brandstaetter pożyczył znaczną kwotę w czasie, kiedy w bardzo ciężkim stanie zdrowia znajdował się ojciec mojej Matki, przesyłając pieniądze z sanatorium w Iwoniczu-Zdroju. Znalazłem też wizytówkę i krótki zapis bardzo szanowanego przez Ojca pisarza: „Geniu! Posyłam Ci 500 zł oraz uścisk dłoni - Tadeusz Kraszewski, 21.XI. 58 r.”

Jednym z podstawowych źródeł informacji Rodziców o tym, co działo się w Polsce i na świecie, było Radio Wolna Europa. Już od najmłodszych lat wiedziałem, że nie wolno mi było mówić na ten temat poza domem. Podstawowym źródłem informacji, ale nie jedynym - bowiem Ojciec miał bardzo szeroką grupę przyjaciół i znajomych dobrze orientujących się w sytuacji politycznej, w tym gronie często wymieniane były zdania i opinie.

Ojciec zgromadził duży księgozbiór wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu: „Kultury” oraz „Zeszytów Historycznych”. Pożyczał te pozycje wielu osobom, nie bojąc się konsekwencji. O ironio, najczęściej o tę lekturę prosili partyjni dygnitarze.

Podczas spotkań autorskich Ojciec nie bał się poruszać tematów, o których w czasach PRL-u nawet nie wolno było wspominać. Nie bał się mówić o wywózce tysięcy Polaków na Syberię, o agresji Związku Radzieckiego na Polskę w dniu 17 września 1939 roku, o Katyniu... Czasami towarzyszyłem Ojcu podczas spotkań autorskich i byłem tego świadkiem. Ojciec odbywał bardzo wiele spotkań z czytelnikami. Pamiętam, że zawsze bardzo miło odbierał spotkania z klerykami w poznańskim Seminarium.

Mój znajomy, dziś profesor jednej z poznańskich uczelni powiedział, że pod koniec lat 60. uczestniczył w spotkaniu autorskim z moim Ojcem w studenckim klubie „Odnova”. Ojciec mówił szczerze o swoich wojennych doświadczeniach, o Armii Krajowej, o uwięzieniu przez Niemców i Rosjan, także o dwukrotnym aresztowaniu i więzieniu przez UB. Po tym spotkaniu studenci byli przekonani, że „*Pauksztę z pewnością zamkną*”. Podczas takich spotkań wśród dużej liczby słuchaczy na pewno byli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Ojca żadne represje po tej i wielu podobnych sytuacjach nie spotkały. Moje odczucia były następujące: Ojciec lubił „balansować na granicy”, starając się przekazywać, głównie młodemu pokoleniu, jak najwięcej historycznej prawdy.

Pewną kuriozalną „ciekawostką” jest fakt, że mój Ojciec miał legitymację członkowską TKKŚ. Tak, to nie pomyłka, przez kilka dni był członkiem tej organizacji, choć ... sam o tym nie wiedział. Rzecz miała miejsce we wrześniu 1970 roku. Rozpoczywałem wtedy naukę w V LO w Poznaniu. W tamtych czasach niejako stałym „punktem programu” było zapisywanie uczniów lub ich rodziców (jeśli organizacja skupiała tylko osoby pełnoletnie) do różnych organizacji - na przykład do PCK, TPD lub do LOP. Groszowe składki w skali kraju płacone przez olbrzymie rzesze uczniów powodowały, że organizacje te liczyły miliony członków. Wśród tych politycznie obojętnych organizacji znalazło się także „nieobojetne” TKKŚ. Ja wpisałem Ojca, nie wiedząc, jaka to organizacja i jaki jest jej program, zapłaciłem też składkę. Po kilku dniach rozdano nam legitymacje członkowskie. Była wśród nich legitymacja członkowska *Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej* wystawiona na Eugeniusza Pauksztę. Zupełnie przypadkiem, w środku nocy mój Ojciec natknął się na tę legitymację i oniemiał. Obudził mnie i zapytał, co to znaczy, jakim prawem stał się członkiem TKKŚ? Zapytał, czy wiem jaką rolę spełnia to towarzystwo? Opowiedziałem o całej sprawie. Mój Ojciec nie mógł opanować wzburzenia i nie zważając, że była druga w nocy, odnalazł wizytówkę i zatelefonował do dyrektora szkoły Jerzego Grześkowiaka. Dyrektorowi nie pozwolił dojść do głosu, zrobił awanturę nie próbując nawet powstrzymać się od krzyku. Jakim prawem został zapisany do organizacji zwalczającej Kościół - sam będąc katolikiem i osobą bezpartyjną - grzmiał. Zagroził Panu Jerzemu Grześkowiakowi, że jeśli błyskawicznie nie cofnie całej sprawy, wyciągnie konsekwencje. Pamiętam nawet, że padły takie słowa, że „*nawet partia pana nie obroni*”. Przyznam, że z obawą poszedłem następnego

dnia do szkoły. Nie spotkały mnie jednak żadne kłopoty, natomiast dyrektor ogłosił, że uczniowie mogą oddać legitymacje TKKS, a pieniądze za składki zostaną zwrócone. Tak się też stało.

Pamiętam atmosferę towarzyszącą obchodom świąt na początku maja. Nigdy ani moi Rodzice, ani ja - zrećcznie omijając obowiązkowe udziały w pochodach za aprobatą Rodziców - nie uczestniczyliśmy w pochodzie. Flagę narodową wywieszaliśmy, nie zdejmując jej przed najważniejszym świętem 3 Maja i nigdy z tego powodu nie mieliśmy jakichkolwiek kłopotów. Pamiętam, jak w 1978 roku Ojciec został zaskoczony mianowaniem do Komitetu Obchodów Uroczystości Pierwszomajowych, o czym dowiedział się z prasy. Zastanawiał się jak wybrnąć z niewygodnej sytuacji, nie bardzo mógł zrzucić swoją nieobecność na stan zdrowia, ponieważ dzień wcześniej uczestniczył w jakimś zebraniu. Skończyło się tym, że podwoziłem Ojca ulicą Zwierzyniecką „od tyłu” pod trybunę, po czym cały czas pierwszomajowych uroczystości spędził w kawiarence znajdującej się pod trybuną...

Znacznie większe rozterki i zdenerwowanie przeżywał Ojciec, gdy jeden z poznańskich dzienników zacytował Jego wypowiedź rozpoczynając od słów „*Nasza partia ...*”. Ojciec do partii nie należał, takich słów w wystąpieniu nie użył, ale bezsensowne byłoby w tamtym okresie dochodzenie autentyczności wypowiedzi poprzez zażądanie sprostowania, które absolutnie nie mogłoby się ukazać. W swoich wspomnieniach „*Rozumem i sercem*” wydanych w 1976 roku w kilkudziesięciostronicowym tekście ani razu nie pojawia się odwołanie do partii, nie pojawiają się określenia socjalizm, socjalistyczna ojczyzna czy Polska Ludowa a tym bardziej, nie ma żadnej gloryfikacji socjalistycznego ustroju lub kierowniczej roli partii. Pisał o pasji, z jaką zaangażował się w budowanie polskości w nowej rzeczywistości, pisał o Wielkopolsce i Poznaniu, o zachłyśnięciu się Ziemiąmi Odzyskanymi używając terminów: własne państwo, nowa Polska, społeczeństwo naszego narodu, ziemia ojczysta. Tekst ten został w jakimś sensie „dopilnowany”, ukazał się bowiem w „*Kronice Wielkopolski*”, której Ojciec był redaktorem naczelnym.

Chciałbym podkreślić z całą mocą, że mój Ojciec nigdy nie identyfikował się z ustrojem powojennej Polski, jednak zaakceptował panującą sytuację i uważał, że w każdym systemie politycznym można i należy działać na tyle, na ile pozwalają na to okoliczności, zachowując przy tym godność. W okresie, w którym żył, nic nie wskazywało, że w tak niedługim czasie Polska stanie się w pełni wolnym krajem.

Ojciec sugerował mi, abym nie zapisywał się do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich - i faktycznie, bodaj jako jedyna osoba na roku nie należałem do tej organizacji studenckiej. Do dziś zgadzam się ze zdaniem Ojca, że można się

przyjaźnić z osobami o innych poglądach, podejmować wspólne inicjatywy, ale nie oznacza to konieczności identyfikowania się do takiego stopnia, żeby wstępować w szeregi takiej czy innej organizacji. Brak przynależności do SZSP dwa razy decydował o znaczących dla mnie rozstrzygnięciach. Będąc na IV roku studiów miałem możliwość wyjazdu na bardzo atrakcyjną praktykę w RFN, pomimo braku legitymacji – pojechałem. Innym razem, kiedy mogłem otrzymać nobilitujące stypendium, odmawiając zapisania się do SZSP, stypendium nie otrzymałem.

Bardzo zdecydowane było podejście mojego Ojca do tzw. sprawy niemieckiej, podobnie jak i rosyjskiej. Wiadomo, prawie każda polska rodzina poniosła straty, liczone w różnych wymiarach. W Oświęcimiu zginął brat mojej Matki, Jan Klukowski, docent medycyny. Ojciec był świadkiem wielu krzywd wyrządzonych Polakom przez Niemców i przez Rosjan i głośno o tym mówił. O wielu zagadnieniach nie mógł pisać z powodu cenzury pilnującej każdego słowa mającego ukazać się drukiem. Niedorzeczne były zarzuty, że inaczej pisał, a inaczej mówił. Dziś dla wielu osób problem cenzurowania wypowiedzi jest bardzo odległy. Swojego czasu jedną z powieści Ojca uznano za rewizjonistyczną. Wręcz humorystycznym przykładem szalejących panów z ulicy Mysiej (siedziba urzędu) była niezgoda na tytuł jednej z powieści Ojca „Lasy płoną o świcie”, trąciło to bowiem... sabotażem. Książka ukazała się pod innym tytułem, a dopiero kolejne wydanie przybrało pierwotny tytuł.

Powracając do wątku niemieckiego, Ojciec nie miał, pomimo doznanych krzywd, złego podejścia do Niemców jako do ludzi, wielokrotnie był w Niemczech, a w styczniu 1978 roku był członkiem delegacji pisarzy polskich w Niemczech w Bremie, Hamburgu i w Wilhelmshaven. Aktywnie uczestniczył w spotkaniach autorskich, mówił biegle w języku niemieckim. Uważał jednak, że o zbrodniach Niemców i Rosjan należy mówić otwarcie, uczciwie i ostro. Miał obawy przed tzw. rewizjonizmem niemieckim. Dzisiaj, kiedy obserwuję roszczenia ziomkostw niemieckich, zdecydowanie uważam, że Ojciec miał wręcz wizjonerską rację w twardym, stanowczym i zgodnym z prawdą stawianiem tzw. sprawy niemieckiej.

Podczas rozmów o możliwości wznowienia powieści Ojca „Znak żółwia” pod koniec lat 90. z ust wydawcy usłyszałem, że „sprawa niemiecka” ujęta jest zbyt ostro, że w okresie wstępowania Polski do Unii poglądy te są „niewłaściwe politycznie”, że obecnie należy do tych spraw podchodzić delikatnie, aby nie urazić Niemców. Finałem był brak odwagi wydawcy, książka skierowana dla młodszej młodzieży nie została wznowiona. Nawet opinia Pana Profesora Grzegorza Straucholda [w posiadaniu autora] o potrzebie wydania tej pozycji nie była wystarczającym argumentem.

Chciałbym napisać o niezwykłym incydencie z Kalksteinem, zdrajcą

Generała Grota-Roweckiego. Zdarzenie miało miejsce późnym wieczorem w połowie lat 70. Otworzyłem drzwi, przede mną stanął nieznany mi mężczyzna, podał rękę przedstawiając się, jak potem się okazało, pseudonimem. Zapytał się czy Ojciec jest w domu, powiedział że przychodzi w bardzo pilnej sprawie. Poprosiłem Ojca, po kilku zdaniach Ojciec zaprosił nieznanego do swojego gabinetu, rozmawiali ponad dwie godziny. Po wyjściu nie umówionego gościa Ojciec powiedział mojej Matce i mi, kim był ten tajemniczy gość. Celem wizyty Kalksteina, zdrajcy Generała Grota-Roweckiego była jego prośba do Ojca, aby się wstawił w sprawie „wybielenia” jego życiorysu. Dlaczego wybrał Ojca? Otóż rodzina Kalksteinów znana była z wielkich tradycji patriotycznych w poprzednich wiekach, a o tym pisał mój Ojciec w swoich powieściach historycznych. Stąd nadzieja potomka rodu, że Ojciec, członek AK, wstawi się w jego sprawie, napisze jakiś artykuł pozwalający Kalksteinowi, choćby na częściową rehabilitację. Oczywiście, Ojciec w żaden sposób nie uległ tym namowom. Moja Mama była zdziwiona, że Ojciec w ogóle podjął rozmowę z taką osobą i że od razu nie wyrzucił go z domu. Jeden ze znajomych podsumował to spotkanie: „czasami warto zajrzeć prosto w oczy diabła”.

IV. Przyjaciele, znajomi, kręgi, w jakich się poruszał

Urodziłem się w znamienym dla Poznania 1956 roku, więc moje osobiste wspomnienia atmosfery domu datują się początków lat 60. Miałem to szczególne szczęście, że dzięki wielu kontaktom osobistym Rodziców mogłem osobiście poznać wiele bardzo znanych osób, głównie ze świata kultury i nauki.

Z tych najmłodszych lat pamiętam Kazimierę Hłakowiczównę, unikającą spotkań w szerokim gronie. Często odwiedzali nasz dom wilnianie, Państwo Eugenia i Witold Staniewiczowie, nie tylko z racji prawie sąsiedzkiego zamieszkania przy ulicy Litewskiej oraz Dyrektor Radia Stanisław Kubiak wraz z małżonką. Utkwił w mojej pamięci Wojciech Żukrowski. Odwiedzał nasz dom bardzo często, a przez czas zbierania materiałów do jednej ze swoich powieści u nas zamieszkał.

Dom nasz był w pełni tego znaczenia domem otwartym, przez lata odwiedziły nas niezliczone rzesze osób. Największe grono było bodaj z racji 60. urodzin Ojca, kiedy po oficjalnych uroczystościach w naszym domu spotkało się kilkadziesiąt osób. Liczne grono przyjaciół gromadziło się również z okazji imienin Ojca.

Krąg znajomych był bardzo szeroki, największa grupa wywodziła się z kręgów literackich. W naszym domu bywali między innymi Państwo Iwaszkiewiczowie, Stefan Kisielewski, Wilhelm Szewczyk, Jan Koprowski, Jan Maria Gisges, Paweł Jasienica, Marian Brandys, Zenon Kosidowski, Jerzy

Ficowski, Jerzy Zawieyski, Mieczysław Jastrun, Zbigniew Załuski, Jan Gerhard, Julian Kawalec, Alina i Czesław Centkiewiczowie, Janusz Koniusz, Monika Warneńska, Stanisław Zieliński, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Jan Osmańczyk i wielu innych. Bywali też naukowcy, głównie ze świata humanistyki: Edward Serwański, Czesław Łuczak, Jerzy Topolski, Edward Makowski, Lech Trzeciakowski, Alfons Klafkowski, Konrad Jażdżewski, jak również reprezentujące inne nauki: Roman Drews, Adam Piskorz, Jan Kiersz, Bolesław Wojciechowicz, Feliks Tychowski.

Wśród osób zaprzyjaźnionych z Ojcem byli też artyści - na przykład Państwo Katarzyna i Józef Stasińscy i Józef Petruk, Mieczysław Chojnacki, Igor Śmiałowski, wydawcy - Jerzy Wittlin, Zofia Szmajs, Andrzej Wasilewski, Franciszek Stępniewski i Ignacy Gajewski, osoby ze świata polityki oraz administracji - na przykład Stefan Askanas, Franciszek Frąckowiak, Stanisław Cozaś, Franciszek Szczerbal, Andrzej Wituski oraz wielu oficerów i generałów - tu przede wszystkim chciałbym wymienić generała Andrzeja Porajskiego.

Wielka przyjaźń łączyła moich Rodziców z Haliną i Ireneuszem Roszkowskimi. Profesor Roszkowski, kierujący kliniką na Polnej w latach 50., był moim ojcem chrzestnym, a mój Ojciec był ojcem chrzestnym córki Profesora, Barbary. Pamiętam, jak Profesor, bardzo zdenerwowany, zwrócił się do Ojca z prośbą o pomoc, kiedy zaatakowany został w prasie przez Jerzego Urbana. Rada Ojca była taka: przemilczeć, zostawić w spokoju i nie wdawać się z taką osobą w polemikę, bowiem sam miał wcześniej kilka „spięć” z Urbanem.

Pamiętam jak 18 marca 1967 roku w drodze do Hiszpanii zatrzymała się u nas cała rodzina Państwa Parandowskich. Podczas pobytu w Polsce odwiedził nas również przyrodni brat „Agenta nr 1” Jerzego Szajnowicza, z rodziną którego nawiązaliśmy serdeczne stosunki podczas pobytu w Grecji w 1965 roku.

Ojciec znał doskonale poznańskie środowisko literackie. Z Romanem Brandstaetterem oraz z Przemysławem Bystrzyckim łączyły Ojca bardzo bliskie, przyjacielskie stosunki. Chciałbym wspomnieć o dwóch innych pisarzach, którzy dla Ojca byli szczególnie bliscy: o Jerzym Pertku i o Jerzym Mańkowskim. Osobiście Jerzego Pertka poznałem w czasie, kiedy Ojciec był Prezesem Poznańskiego Oddziału Marynistów Polskich, ja zaprzyjaźniłem się z zięciem pisarza. Zawsze bardzo ciepłe stosunki utrzymywał z Jerzym Mańkowskim, któremu jako młodszemu koledze pomagał w pierwszych krokach literackiej drogi, zawsze spotykał z Jego strony z wielką sympatią i przyjaźnią.

Ojciec będąc Prezesem Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz Poznańskiego Oddziału Marynistów Polskich darzył wielkim zaufaniem sekretarzy tych organizacji: Stanisława Słopienia oraz Teofila Różańskiego, którzy bardzo

często bywali w naszym domu.



Dawna leśniczówka w Starej Brdzie.

Atmosferę domu rodzinnego poszerzyć chciałbym także o inne miejsca, w których przebywałem z Rodzicami. Wakacje spędzaliśmy najczęściej w leśniczówkach, były to Liny koło Kargowej, gdzie odwiedzał Rodziców poeta Janusz Koniusz. Na przełomie lat 50. i 60. nie tylko wakacyjny czas rodzinnie spędzaliśmy w leśniczówce Stara Brda, w urokliwym miejscu położonym w pobliżu Koczały i Miastka. Jak „przez mgłę” – miałem wtedy przecież zaledwie parę lat – pamiętam płynący w pobliżu potok z krystalicznie czystą wodą, wspaniałe jeziora, bezmiar obszarów leśnych...

Z wielkim wzruszeniem co pewien czas przybywam do tego pięknego, pełnego zieleni, magicznego miejsca. Czasami jako wędkarz brodzący Brdą w jej górnym biegu, w pewnym sensie „*incognito*” odwiedzam to miejsce, bacznie spoglądając w kierunku dawnej leśniczówki, dziś będącej gospodarstwem agroturystycznym Państwa Łęgowskich. Jestem dumny oraz wdzięczny Gospodarzom, że na frontonie budynku znajduje się tablica poświęcona mojemu Ojcu.



Dominik Paukšta dokonuje odsłonięcia tablicy upamiętniającej pobyt Eugeniusza Paukšty w latach 1958-1961 w leśniczówce w Starej Brdzie

Po Starej Brdzie był Wersk pod Złotowem – także bardzo bliskie mi miejsce, w którym ekipa telewizyjna ze znanymi dziennikarzami Elżbietą Dryll i Aleksandrem Małachowskim nagrywała „Spotkanie z pisarzem”. Była to też leśniczówka Jeziorki k. Czaplinka, w okolicach której trwały zdjęcia do filmu „Kierunek Berlin”. Wtedy częstymi gośćmi w leśniczówce byli Janusz Przymanowski i Zbigniew Załuski, zaangażowani w realizację tego filmowego obrazu.

Bardzo często przebywaliśmy w Domu Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich „Astoria” w Zakopanem. Było to miejsce o specyficznej atmosferze, oderwane od ponurej rzeczywistości, wspaniale prowadzone przez będącą w przyjaźni z moją Matką Marię Krasicką. Tu grałem w piłkę nożną z pisarzem Stanisławem Zielińskim, na pamiątkę tych zmagani pozostał autograf: „... z okazji gola pod Cieszynianką, 13. X. 69. – Stanisław Zieliński”. Tu poznałem Jana Sztudyngera, Stanisława Lema, Jerzego Broszkiewicza, Adama Bahdaja, Karola Małcużyńskiego i wielu innych wspaniałych twórców.

Ojciec bardzo często występował w radiowych i w telewizyjnych programach. Prawdziwym bardzo sympatycznym „najazdem” była kilkudniowa wizyta ekipy „Pegaza” w naszym domu w Poznaniu, z redaktorami Niną Terentiew i Tadeuszem Krašką w połowie lat 70. W ciągu tego czasu powstało kilka

programów, które potem stopniowo ukazywały się na ogólnopolskiej antenie.

Pisząc o atmosferze domowej nie mogę nie wspomnieć o mojej Matce Annie, która zajmowała się domem, była też pierwszym redaktorem i osobą oceniającą na bieżąco to, co napisał Ojciec. Wspierała Ojca w Jego działaniach, była doradcą w wielu bardzo trudnych sytuacjach. Cechowała Ją wielka intuicja, miała bardzo pogodny charakter i zawsze młodzieńcze spojrzenie na życie. Przyjaźniła się z Marią Krasicką – o której wspomniałem wcześniej, jak również z Wandą Serwańską – przez dziesięciolecia szefującej Wydawnictwu Naukowemu UAM oraz z Jadwigą Foltynowicz-Mańkową, znanym doktorem ginekologii i położnictwa, autorką książki „Będę matką”.

Wiele osób miało mojemu Ojcu za złe, że utrzymywał zażyłe stosunki z osobami piastującymi wysokie stanowiska w aparacie partyjnym. Profesor Grzegorz Strauchold napisał: **„pozostawał w pewnych okresach także w dobrych układach z kręgami władz polityczno-państwowych w poznańskim KW PZPR”** [G. Strauchold – „Eugeniusz Pauksza, Sołaczanin z Wilna”, Sołacz, wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sołacza, Poznań, 2004]. Ten krąg znajomych i przyjaciół poszerzyłbym także o osoby, które w niektórych okresach swojego życia zajmowały znaczące stanowiska partyjne nie tylko w Poznaniu, jak również o twórców mających zdecydowanie lewicowe poglądy. Wymieniłbym tutaj Wincentego Kraśkę, Stefana Olszowskiego (na przełomie lat 50. i 60.), Jana Pawłaka, Ryszarda Frelka, Zbigniewa Załuskiego, Jana Gerharda, Witolda Nawrockiego, Bohdana Porębę i Alojzego Sroge. Osobiście bardzo sympatycznie wspominam kontakty z Witoldem Nawrockim, który będąc w Poznaniu zawsze odwiedzał nasz dom. Ojciec, przyjaźniąc się z wieloma osobami o innym światopoglądzie, nigdy nie uważał – że miarą wartości człowieka jest jego przynależność lub brak przynależności do partii.

W szczególny sposób głęboko w mojej pamięci zapadły wizyty Zbigniewa Załuskiego i Alojzego Srogi. Pozostały w pamięci dlatego, że stale powracającym tematem był motyw patriotyczny, polskości jako wartości naczelnej. Pamiątką z rozmowy Aleksandrem Srogą pozostał wpis: **„*Stuchasz, Dominiku, naszych dość gorzkich rozmów, rzec można – niemal demoralizujących. Takie to nasze prawo, jeśli nie zatraciliśmy polskiego sumienia. Tobie życzę, aby treść Twoich już dorosłych polskich rozmów i spotkań była bardziej optymistyczna i nie wojenna*”** – A. Sroga, 7. I. 1976”. Od Zbigniewa Załuskiego będącego konsultantem w wielu filmach otrzymałem nawet luźną propozycję wystąpienia w filmie o Powstaniu Warszawskim. Moje spojrzenie przypominało Panu Zbigniewowi spojrzenie powstańca. Jednak tej propozycji nie podtrzymałem, udział w filmie mnie nie pociągał.

Na szczęście, nie jest mi dane oceniać postawę tych osób, nie jestem

historykiem. Pragnę napisać, jak pamiętam tamte spotkania. Dziś ocena osoby Załuskiego w encyklopedii PWN jest jednoznacznie negatywna: „służył wykorzystywaniu popularnych mitów narodowych na użytek komunistycznej propagandy”. Pamiętam jednak, że z jednej strony Ojciec cenił Załuskiego za odwagę podczas wojny, szczególnie podczas bitwy o Kołobrzeg, w której był ranny. Cenił za wiedzę historyczną i za patriotyzm, z drugiej strony był pod fatalnym wrażeniem wystąpienia Załuskiego na lotnisku w Kijowie w kwietniu 1977 roku podczas wizyty delegacji polskiej, w tym twórców – której uczestnikami byli zarówno Ojciec jak i Zbigniew Załuski. Pamiętam, jak Ojciec wspominał o tym, że Załuski podczas wystąpienia powiedział, że swój polski patriotyzm wkłada do kieszeni. Z taką postawą mój Ojciec zgodzić się nie mógł. Przypominają mi się gorzkie słowa wypowiedziane bodaj w 2006 roku przez Cezarego Chlebowskiego po otrzymaniu wysokiego odznaczenia państwowego, osoby będącej niekwestionowanym autorytetem, że „w PRL-u było więcej patriotyzmu niż obecnie”.

Ojciec bardzo chętnie zapraszał wiele osób do naszego domu, najczęściej znajomych i przyjaciół, ale bywało, że w zaproszonym gronie były osoby, które gościły w naszym domu po raz pierwszy. Pamiętam, jak w dniu 15 kwietnia 1971 po oficjalnych spotkaniach, Ojciec zaprosił do domu liczną grupę osób. Późnym wieczorem przyszło około dziesięciu osób, niektóre z nich pełniły znaczącą rolę w administracji państwowej lub w partii. Rozmowy toczyły się na różne tematy, gdy jeden z profesorów, będący wtedy pierwszym sekretarzem partii na swojej uczelni, zaintonował „Pierwszą Brygadę”. Pamiętam jak po odśpiewaniu tej zakazanej przecież pieśni Pan Jan, kierowca zaprzyjaźnionego z Ojcem wiceministra Kultury i Sztuki Aleksandra Syczewskiego, uczestnika walk o Monte Cassino, powiedział do mnie – wtedy kilkunastoletniego chłopaka: „... oni, jak znajdują się w zaprzyjaźnionym gronie, pokazują, że naprawdę myślą i czują po polsku”.

Ojciec utrzymywał też przyjacielskie stosunki ze swoimi kolegami z AK. Najlepiej pamiętam Antoniego Grygorczyka □o. „Hall” oraz Stanisława Wierszyłłę □o. „Antek”, żołnierza Siódmej Brygady Wileńskiej, który podobnie jak mój Ojciec, był zapalonym wędkarzem. Razem z Panem Stanisławem oraz z Jego synem Ryszardem wielokrotnie wyjeżdżaliśmy na wędkowanie. Ryszard Wierszyłło jest obecnie moim najwierniejszym kumplem podczas wędkarskich włóczęg, jednakże do tej pory nie udało się nam przyjechać w okolice Miastka i Koczały. Dyskusje ze „starymi Akowcami” na tematy polskie były pozbawione różnic zdań dotyczących spraw polskich jak i panującego ustroju. Ojciec zachęcał kolegów z AK do wstępowania do ZBOWID-u. Uważał, że należą im się pewne przywileje, sam jednak do tej organizacji nie wstąpił. Rozbieżności poglądów powstały jednak pomiędzy Ojcem i Jego dowódcą w Armii Krajowej Zygmuntem Dziarmagą-Działyńskim ps. „Józef”, który wykazywał bezkompromisowość w kontaktach z władzami powojennej Polski.

W jednym z listów Zygmunt Dziarmaga-Działyński napisał: „*Idziesz swoją drogą, którą oceniam na ogół pozytywnie, niektórych „punktów” działań nie akceptuję, ale ich sens taktyczno-polityczny rozumiem*” [korespondencja w posiadaniu autora].

W 1970 roku Zygmunt Dziarmaga-Działyński informując Ojca o przyznaniu Mu Krzyża Armii Krajowej i przesyłając legitymację, tak napisał:

Drogi Przyjacielu!

Chociaż ongi tak często i tak blisko mieliśmy możliwość obcować i działać – obecnie twarde życie ustanowiło te sprawy inaczej. Zawsze jednak – i wtedy i dzisiaj – widziałem w Tobie człowieka niepospolitej wartości, którą – ofiarnie i bezinteresownie wykonywał i wykonywa dla Ojczyzny poważną pracę, jakby zagon ziemi polskiej, którą sam własną metodą i własnym wysiłkiem uprawiasz. Dopiero jednak w ostatnich latach miałem sposobność i możliwość zorientować się i w tym, jak potrafiłeś połączyć utrwalenie miłości do Ziemi Odzyskanych z utrwalaniem pamięci – wytrwałej i wiernej – o ziemiach, które od nas odeszły w wyniku tragedii II Wojny Światowej.

To wszystko, a głównie właśnie ten sentyment – uczciwy i szlachetny – do przeszłości, która przecież zginąć nie może i nie zginie – podwoiło jeszcze moje uznanie dla Ciebie, mój szacunek i – wybac, że to zaznaczę – moją dumę, jako Twojego dowódcy. Mam bowiem szacunek dla starych sztandarów i nikt ani nie odbierze tego szacunku dla tradycji narodowej i walk niepodległościowych!

Jednocześnie mam głęboką satysfakcję zawiadomić Ciebie, że kapituła w Londynie nadała Ci Krzyż Armii Krajowej.

Łączę uścisk dłoni –

Zygmunt Dziarmaga-Działyński

Warszawa, Boże Narodzenie 1970

Zakrety historii sprawiły, że Krzyż Partyzancki za walkę w szeregach Armii Krajowej został wręczony Ojcu przez I sekretarza PZRR w Poznaniu.

V. Kulisy zdobywania wiedzy

Ojciec zawsze bardzo starannie przygotowywał się do tematów, które miał zamiar poruszyć w swojej twórczości. Spędzał dziesiątki godzin w bibliotekach, zapoznawał się z niezliczoną ilością publikacji dotyczących konkretnego tematu. Przede wszystkim szukał informacji u źródeł, u osób, które były autorytetami w danej dziedzinie lub które były w danej dziedzinie profesjonalistami.

Spotkałem się z kilkoma opiniami, że w swoim dorobku literackim mój Ojciec napisał kilka tzw. „produkcyjniaków”, książek napisanych zgodnie z duchem czasów, a opisane są w nich tak odległe zawody jak prace hutników lub rybaków śródlądowych. Kontynuacją tych sądów były stwierdzenia, że nie znał tajników zawodowych tych grup zawodowych, że wybrał je przypadkowo – no i opisał powierzchownie, bez znajomości rzeczy i pod zamówienie władzy. Z opinią, że praca zawodowa opisana jest pobieżnie i bez znajomości rzeczy – absolutnie się nie zgadzam. To raczej świadczy o niekompetencji osób sądy takie wypowiadających.

Rozpocznę od zawodu hutnika, opisanego w „Trzeciej zmianie”. Zawód hutnika doskonale poznał mój Ojciec dzięki swojemu teściowi. Konsultował się z Nim w sprawach merytorycznych, wypytywał o szczegóły pracy hutnika, a napisane rozdziały przedstawiał do oceny. Otóż mój dziadek inż. Karol Klukowski był hutnikiem, ukończył studia technologiczne w Petersburgu, był zastępcą dyrektora działu wielkich pieców w Zakładach Metalurgicznych w Kamienskoje, potem dyrektorem działu hutniczego w Zakładach w Starachowicach i konsultantem do spraw hutniczych w Zarządzie Zakładów w Starachowicach, po wojnie pracował Katowicach w Zjednoczeniu Hutniczym. Ponadto przetłumaczył naukową książkę M. A. Pawłowa pt. „Obliczanie namiarów wielkopieczowych” (PWT Katowice 1952) o procesach hutniczych. Trudno więc o bardziej kompetentną osobę służącą wiedzą w tej dziedzinie. Łatwo jednak, zbyt łatwo krytykowi literackiemu napisać o braku kompetencji.

Inne zawody, na przykład zawód rybaka jeziorowego i leśniczego poznał sam doskonale, ponieważ każdy wolny dzień Ojciec spędzał w lasach i nad wodami. Zaszczepił we mnie umiłowanie przyrody. Będąc małym szkrabem interesowałem się przyrodą, a przede wszystkim zwierzętami. Podczas pobytu z Rodzicami w Warszawie w 1965 roku uparłem się, że chciałbym się spotkać z Janem Żabińskim, autorem serii książek „Z życia zwierząt”, będącym dla mnie największym autorytetem. Ojciec nie znał Jana Żabińskiego, zatelefonował jednak i przedstawił prośbę. Zostaliśmy zaproszeni do domu Państwa Żabińskich, a ja przez ponad godzinę rozmawiałem o zwierzętach z guru moich najmłodszych lat.

Na początku lat 50. moi Rodzice spędzili długi okres mieszkając w chacie u rybaka na Mazurach (nad jeziorem Świącajty na półwyspie Kal koło Węgorzewa). Ojciec towarzyszył rybakom w ich pracy, pomagał w stawianiu żaków czy drgawic, fascynował się połowami z zastosowaniem niewodów, zawsze z dreszczem emocji oczekiwał na wyciągnięcie matni przy połowach niewodami, pomagał przy wyciąganiu sznurów założonych na węgorze. A więc i ten zawód poznał dużo lepiej niż niejeden z krytyków posądzających mojego Tatę o nieznajomość rzeczy.

Jak wspominałem, wakacje podczas moich najmłodszych lat spędzaliśmy mieszkając w leśniczówkach – w Linach koło Kargowej, w Starej Brdzie koło Miastka i Koczały, w Wersku koło Złotowa, w Łowiskach koło Trzcianki i w Jeziorach koło Czaplina. W „odkrywaniu” większości z tych miejsc do wypoczynku i do pracy twórczej wielką pomoc mój Ojciec miał w wiernym przez lata przyjacielu Zygmuncie Kaczmarku. Zawody leśnika i rybaka poznał mój Ojciec „od podszewki”. Dlatego „łatka” przypisywana np. „Srebrnej ławicy” kwalifikowanej do „socjalistycznych produkcyjniaków” budzi u mnie poczucie żalu.

Podobnie, Ojciec zgłębiał tajniki nurkowania, konsultując się w tej tematyce z jednym z instruktorów poznańskiego WOPR-u. Poznawał podstawy pracy archeologów przed podjęciem pracy nad jedną z powieści dla młodzieży.

VI. Postawa wobec innych, bezinteresowna pomoc

Ojciec potrafił dostrzegać problemy człowieka, jego troski i kłopoty. Zawsze wykazywał chęć pomocy w życiowych problemach innych. Był osobą działającą impulsywnie, spontanicznie. Potrafił ostro zwrócić uwagę palącym papierosy na cmentarzu. W tematyce podejmowanej w felietonach na łamach „Tygodnia”, protestował przeciw służalczości, deprecjacji uczuć, „draństwu”, podkreślał potrzebę przyjaźni, miłości, zaufania i patriotyzmu.

Z najmłodszych lat pamiętam, jak mój Ojciec pomagał w drodze życiowej Michała Kaziowa. Prawdopodobnie o tę pomoc zwróciła się do Ojca Pani Halina Lubicz, aktorka i działaczka kulturalna z Zielonej Góry. Michał Kaziów nastąpił na minę i doznał poważnych obrażeń: całkowicie stracił wzrok, stracił ręce. Gdyby ten wypadek zdarzył się podczas wojny, młodego Michała objęłyby programy pomocy ofiarom wojny. Tragedia stała się już po wojnie i zgodnie z obowiązującym prawem nie został objęty żadnym ubezpieczeniem i nie otrzymywały żadnych świadczeń.

W rozmowie ze mną pod koniec lat 90. Pan Michał powiedział, że gdyby na swojej drodze życiowej nie spotkał Pani Lubicz i Pana Paukszy, zostałby przez życie wdeptany w ziemię. W jednym z listów Pani Haliny Lubicz do mojego Ojca napisała: „*Mam nadzieję, że nasze wspólne dziecko nam się uda i będziemy z niego dumni*”. Jego edukacją, począwszy od szkoły, poprzez studia na Uniwersytecie w Poznaniu i skończywszy na studiach doktoranckich i obronie pracy doktorskiej zajęli się właśnie Pani Halina Lubicz i mój Ojciec. Wiem, że niektórzy zarzucali mojemu Ojcu, że ma wiele znajomości i że je wykorzystuje. Tak, „mieli rację” – na przykład dzięki znajomościom w Polskim Związku Niewidomych nie sobie, ale Panu Michałowi pomógł w uzyskaniu stypendium, dzięki któremu mógł ukończyć liceum. Pamiętam jak Ojciec zabiegał o przyznanie

przewodnika doprowadzającego Pana Michała na wykłady. Jakże często właśnie w taki sposób mój Ojciec „wykorzystywał” swoje znajomości.

Wprawdzie pomoc Michałowi Kaziowskiemu była wydarzeniem wyjątkowym, jednak postawa bezinteresownej postawy wobec potrzebujących była dla Ojca chlebem powszednim. Na przykład, na początku lat 70. Jerzy Pertek zwrócił się z prośbą o pomoc w dość nietypowej sprawie. Otóż zięć pisarza, młody oficer chciał studiować historię na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza, a jego dowódcy nie wyrazili na to zgody. Dzięki ingerencji Ojca u generała Urbanowicza będącego wówczas wiceministrem Obrony Narodowej mógł podjąć studia na cywilnej uczelni. Po kilku latach sfinalizował je obroną pracy magisterskiej u Profesora Benona Miśkiewicza. Podobnych sytuacji było wiele, pomagał ludziom w ich trudnych sytuacjach życiowych, był wrażliwy na ludzkie problemy.

VII. Tytułem zakończenia

Ojciec nie sfinalizowałby tak wielu zamierzeń, gdyby nie działał szybko i zdecydowanie. Niestety, nie liczył się ze swoim zdrowiem. Bardzo często, szczególnie w ostatnim okresie życia podejmował się wielu zadań z zapalem dwudziestolatka, jednakże fizycznie nie był już im w stanie podołać.

Zamierzenia pisarskie miał wielkie: planował dokończyć trzecią część młodzieżowej trylogii pt. „**Amfory spod Halikarnasu**”, w zamierzeniu miał powieść o macierzyństwie, ale głównym planem była trylogia o Powstaniu Wielkopolskim pt. „**Ogień nad Wartą**”. Ojciec na łamach prasy, w radiu i w telewizji zwrócił się z apelem do społeczeństwa Poznania i Wielkopolski o wypożyczenie pamiętek, dokumentów, własnych wspomnień związanych z Powstaniem. W domu zgromadził olbrzymie ilości dokumentów. Wiele osób miało do Ojca jako do pisarza wielkie zaufanie i powierzyli Jemu takie pamiętki, które skrycie przez lata przechowywali. Niestety nie dane Mu było zrealizować tych planów.

Ojciec miał poczucie wielkiej moralnej odpowiedzialności zawodu pisarza. W jednej z dedykacji napisał: „... *Dominikowi, aby pamiętał, że pisarstwo jest zawodem bardzo trudnym, angażującym całe wnętrze ludzkie: serce, duszę, nerwy; że jest równoległym życiem za wielu, wielu innych; że pisarz bardziej może od innych tęsknić i potrzebuje tkliwości, czułego słowa, muśnięcia przez włosy, dobrego wejrzenia; że dając wszystko, chce także brać ...*”

* * *

Rozmawiałem z Panem Profesorem Andrzejem Kwileckim podczas prezentacji Jego nowej książki „*Silva rerum*” na początku 2007 roku. Pamiętam

słowa Profesora, wspominającego mojego Ojca przede wszystkim z wręcz obsesyjnego podejścia do polskości, do patriotyzmu. Kontynuując ten wątek, a jednocześnie podsumowując warunki, w jakich przyszło żyć i tworzyć Ojcu mogę stwierdzić, że działał na tyle, na ile było Mu dane – nie był opozycjonistą, nie pisał „do szuflady”, lecz starał się przekazywać w swojej pracy pisarskiej w ponad trzydziestu pozycjach, w swojej pracy publicystycznej liczonej na kilka tysięcy artykułów i felietonów, w swojej pracy społecznikowskiej jak również podczas olbrzymiej ilości spotkań autorskich, wartości, którym był wierny: prawdy, polskości, umiłowania tradycji. Niech tę myśl zakończą słowa napisane przez Cezarego Chlebowskiego: „*Gieniu! Z przyjacielskim uściskiem dłoni, z nową porcją sympatii dla Ciebie i tego co piszesz – z ciągłym nieustającym uznaniem – Czarek, 21/V 78*” [dedykacja w książce „Gazda z Diabelnej” napisana podczas Piłskich Dni Literatury].

Bożena Górczyńska-Przybyłowicz *To tylko serce uciekło w okolice dalekie...*¹

Tekst wygłoszony 25 października 2007 r. w Kargowej z okazji rozstrzygnięcia VIII Edycji Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukszty i opublikowany w lubuskim piśmie literacko-kulturalnym Pro Libris, nr 4(21) 2007., Zielona Góra, s. 6-10.

Wymiar czasowy wspomnień, które zachowałam o Eugeniuszu Paukszcie jest bardzo obszerny, sięga bowiem okresu od wczesnego dzieciństwa, aż po dorosłe życie. Dlatego też przytoczę kilka obrazów widzianych oczami nie tylko osoby dorosłej, ale i dziecka, któremu jego twórczość i przyroda, którą tak kochał i niepowtarzalnie opisywał, towarzyszyła od zawsze i jest do chwili obecnej szczególnie bliska. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności to właśnie w moich rodzinnych stronach pan Eugeniusz szukał często natchnienia i wytchnienia.

Pod pretekstem dyskusji o jego twórczości i miejsca jaką pełni w niej piękno natury, mogę przynajmniej pośrednio ponownie odwiedzić myślami piękne, umiłowane rodzinne strony i osobliwie poczuć obecność kochanych, bliskich osób, które niestety już odeszły. Przy takiej okazji zawsze cieszy możliwość bycia razem, opowiadania i słuchania oraz złudnego cofnięcia w czasie. Są to myślowe powroty do rajy wspomnień, jak to często nazywam, do rajy z którego nikt i nic nie może mnie wypędzić. Dodatkowo okolicznościowe uroczystości i spotkania, poświęcone osobom tak znanym i cenionym, skłaniają mnie nie tylko do bardzo osobistych refleksji i ocen, ale dają możliwość czynienia porównań z oficjalnym wize-

1 A. Mickiewicz "Pielgrzym".

runkiem omawianej postaci, wygrzebywania z zakamarków pamięci wydarzeń jednostkowych, które tylko nielicznym dane było przeżyć, napawają wzruszeniem i zadumą nad sensem życia, nieuchronnym przemijaniem, ale i bardzo radosnym odczuciem, iż dane mi było spotkać ludzi niezwykłych, a do takich postaci zaliczam pana Eugeniusza. Moje refleksje nie będą więc akademicką oceną twórczości literackiej. Do takiej nie czuję się w żaden sposób ani upoważniona ani kompetentna. Postaram się pokazać państwu Pauksztę z mojej prywatnej perspektywy, mniej pisarza bardziej człowieka, przybliżyć jego życiową postawę i pasję, za które powinien zostać otoczony nie mniejszą atencją aniżeli za literackie dzieła.

Po wielu latach lekkiego dystansu do bliskich mi rodzinnych stron, od ubiegłego roku ponownie tam bywam i odkrywam na nowo stare ślady. Prowadzona nimi odwiedziłam w minione lato ulubione jezioro pana Eugeniusza. Spotkałam tam zupełnie obce mi osoby, które jednak jakby czytały w moich myślach i wyczuwały, iż miejsce to jest dla mnie w jakiś sposób szczególne. Siedząca na brzegu nieco starsza ode mnie kobieta zapytała, czy tak jak większość obecnych nad jeziorem, też jestem z Warszawy. Z radością i szczerze odpowiedziałam, bynajmniej, ja jestem po prostu stąd, przebywam jedynie od wielu lat w Poznaniu. *Niech pani sobie wyobrazi ożywiła się, to tak bardzo ukryte w lesie jezioro, było podobno ukochanym miejscem wędkowania pani krajana, znanego poznańskiego literata Eugeniusza Paukszty.* Tak, to potrafiłam wyobrazić sobie nieprawdopodobnie dokładnie. Ku zaskoczeniu mojej rozmówczynie dodałam, iż Paukszta podobnie jak i ja został poznaniakiem jedynie z przypadku, czy może życiowej konieczności, a to jezioro i jego okolice, łączą mnie z jego osobą i twórczością znacznie bardziej aniżeli Poznań. Jezioro Zielone, bo tak w rzeczywistości brzmi nazwa, stanowiło faktycznie jego ukochane miejsce; ciszy, natchnienia i odpoczynku. Wyjaśniłam więc mojej rozmówczynie z dużym wzruszeniem, iż patrząc na jezioro dostrzegam nie tylko jego toń, piękny okalający je las, ale przymykając oczy widzę w oddali pływającego na pontonie i wędkującego samego pana Eugeniusza, jego małżonkę spacerującą wzdłuż brzegu i Dominika, baraszkującego na plaży. Naszą rozmowę przerwał zapadający zmierzch, ale po powrocie do domu nadal snułam wspomnienia. Widziałam już nie tylko jezioro, ale całą panoramę zdarzeń poczynszy od 1958 r. To wówczas, w piękny wrześnieowy dzień na podwórko naszej leśniczówki wjechał wartburg. Z samochodu wysiedli: wysoki, szczupły, charakterystycznie uśmiechnięty energiczny mężczyzna, jasnowłosa dama, „mały o blond lokach” chłopiec oraz rudy pies rasy chow chow. Spośród tej czwórki najbardziej zdenerwował mnie wbrew pozorom nie ów wielki pies imieniem „Kleks”, ale ten dwuletni Cherubinek, nad którym wszyscy skakali, w czasie kiedy ja samotnie zmierzałam właśnie do pierwszej klasy. Chodziłam tej jesieni do szkoły w głębokim poczuciu krzywdy i przekonaniu, że nigdy „nie polubię” owego malucha. Jednak zgodnie z dewizą, iż kobieta zmienną jest, już niebawem korzystałam ochoczo ze wspólnych zabaw, wyjazdów z jego rodzicami do miasta, najchętniej jednak tych kiedy wrzeszczący Dominik musiał zostać w domu pod opieką gosposi. Niekiedy

przemykałam też do zrobionej dla Dominika osobiście przez jego ojca, piaskownicy i wówczas powstawały nasze wspólne fantazje z piasku. Były też wspomniane już wspaniałe wyprawy nad jezioro.

Kolejne letnie spotkania miały nam na zabawie, dziecięcym rozrabianiu i wspólnych wyjazdach nie tylko nad jezioro, ale również na wieczory autorskie pana Eugeniusza, gdyż on zawsze i wszędzie po prostu pracował. Ta sielanka trwała długo, ale niestety znalazła swój smutny kres. W ferworze dziecięcej radości w trakcie jednego z wyjazdów wypadł z samochodu i uległ stłuczeniu termos z nieodłączną kawą literata, co wzbudziło niestety bardzo duże poruszenie. Wówczas zapadła nieodwracalna decyzja, „*pędraki*” *więcej na wieczory autorskie nie będą zabierane*”. Nie pamiętam, kiedy dokładnie to nastąpiło, ale jak państwo widzicie i nas przypisał wówczas wszechobecnej, ukochanej przyrodzie, a my dzięki temu możemy ponownie wracać we wspomnieniach do jej piękna, czaru i tajemnic. Ponieważ wiejskie dzieci nie miały w tamtych czasach wielu rozrywek państwo Pauksztowie starali się również w inny sposób sprawić naszej podwórkowej gromadce jak najwięcej radości. Czynili to na wszelkie możliwe sposoby. Były to nie tylko wspomniane już wspaniałe, wspólne wyjazdy, ale i specjalnie urządzone dziecięce imprezy. Należały do nich między innymi uroczyste urodziny Dominika. Wówczas, zwykle wiecznie zapracowany pan Eugeniusz, zasiadał z nami do stołu nie limitując czasu, poświęconej nam uwagi oraz słodczy: tortu, kakao, cukierków..., opowiadał, zabawiał i słuchał. Być może myślał wówczas o książce dla dzieci?

Słodkie mam jeszcze jedno wspomnienie. Nieco później, w prezencie komunijnym otrzymałam od państwa Pauksztów 10 kg fantazyjnie dobranych cukierków. Ich asortyment i ilość były dla moich rówieśników i dla mnie wręcz niewyobrażalne. Pan Paukszta znał po prostu dziecięce marzenia, bo proszę mi wierzyć, ówczesne dziecko nie mogło oczekiwać cudowniejszego prezentu.

Z dziecięcego okresu pamiętam również inne zdarzenie, brak chleba. Nie w sensie braku jedzenia, ale tylko zwykłego chleba. Z nieznanym mi wówczas przyczyn po prostu przez kilka dni nie dostarczono chleba do wiejskiego sklepu i wszyscy byli go bardzo spragnieni. Wreszcie po kolejnej wyprawie, udało się nam zdobyć jeden bochenek, nadgryziony chyba nawet przez mysz. Wówczas rzuciliśmy się nań wszyscy, jak po wielodniowej głodówce. Pan Eugeniusz obserwował naszą reakcję bardzo uważnie, a następnie nieznanym nam bardzo poważnym tonem zapytał, czy ten chleb smakuje inaczej? Przecież nie jesteście głodni. Brakowało wam tylko zwykłego chleba? Nieporadni w znalezieniu wyjaśnienia, milczeliśmy wpatrując się w pytającego, jakby oczekując pomocy w sprecyzowaniu odpowiedzi. I otrzymaliśmy ją: wasz głód nie został spowodowany niedoborem jedzenia czy też pragnieniem samego chleba, lecz nasilił go u was brak poczucia bezpieczeństwa jego dostatku. Cieszę się, iż doświadczyliście już dzisiaj, co taki brak i

związane z nim zagrożenie znaczą. Dopiero po latach miałam się dowiedzieć, o czym mógł wówczas myśleć, skąd taka refleksja i dlaczego nie omieszkał podzielić się nią z nami przeciętnymi, małymi dziećmi. Czując dzisiaj pewną duchową obecność pana Eugeniusza, mam wrażenie, że pewnie patrzy teraz na nas z góry i z pobłażliwym charakterystycznym dla niego uśmiechem i zatroskaniem pyta, co w życiu zrobiliście? Czy nauczyliście się cenić nie tylko chleb, ale i otrzymaną wolność oraz dany każdemu z osobna czas?

Do twórczości pana Eugeniusza przedostały się prawie wszystkie ważniejsze wydarzenia spędzanych u nas sezonów. Jesienią nasz dom zawsze był pełen myśliwych żądnych obfitych łowów. Pewnej nocy trafionym celem jednego z nich, zamiast dorodnego jelenia, padła mleczna krowa. Oporny łowca, który nie bardzo chciał szczyścić się owym krowim trofeum i przyznać do tragicznej pomyłki, przeszedł za karę do powieści *Wiatrolomy* pod znamienym określeniem „krowi ogon”. Znalazły w niej miejsce też inne opisy: gniazdo jaskółek w pokoju pracy pana Eugeniusza, skrzynia z osobiście złowionymi rybami i zatopiona w rzece Brdzie, przechowująca ich stały zapas dla spodziewanych i niespodziewanych gości oraz stary ponemiecki wodospad, takie sztuczne spiętrzenie rzeki, który niestety padł ofiarą końcowej fazy wojny, a Paukszta niebywałym nakładem pracy fizycznej przywrócił go do życia i chyba „spolonizował”. Odbudował go własnymi siłami, nadając zgodnie z oryginałem stary kształt, a on zapewne w podzięcie „wyszumiał” mu opowieść o ludziach, którzy tam byli i tych współczesnych, o losie który jednych wygnał z rodzinnych stron, a innych sprowadził w to obce miejsce. Poszeptał również, że wytężona praca i okoliczna natura najskuteczniej koją ich powojenne rany, pomógł niejako zrozumieć problem mniejszości niemieckiej i tzw. osadników Ziemi Odzyskanych.

W swoich pracach Paukszta odkrywał wewnętrzną przemianę człowieka pod wpływem splotu różnych wydarzeń, dobrych ludzi oraz dzikiej, pierwotnej przyrody. Skomplikowane losy swoich bohaterów, doświadczonych boleśnie historią i najnowszymi dziejami powojennej Polski, lokował w niezwykle urokliwych okolicach. Piękno przyrody miało zapewne koić ich ból i problemy, a w rzeczywistości, zblizniało rany nie tylko opisywanych postaci, ale zapewne również tęskniące serce i skolatane nerwy autora. Koiły jego tęsknotę za ukochanym Wilnem i życiem w czasach które zatracono. W swoich utworach nie rozdzierał jednak ran, lecz uczył pokory godzenia się z losem, czerpania mądrości z życia i radości z brzasku każdego nowego dnia, który niezmiennie witał pisząc do świtu. Umiejętności zgodnego, wspólnego bytowania z przyrodą i ludźmi różnych nacji. Dowodził, iż daru natury i miejsca na ziemi wystarczy dla wszystkich trzeba tylko umieć owe miejsce znaleźć, nauczyć się czerpać z niego jak ze źródła i cieszyć darem życia. Potrafił tworzyć nie tylko dla współczesnych i tych którzy mieli przyjść po nim, ale i dla tych, którzy byli wcześniej. Tak więc po lekturze książek Paukszty Mazury i Ziemi Zachodnie kojarzą się nie tylko z wielką liczbą jezior i dużymi

kompleksami leśnymi, ale i z tamtejszymi problemami społecznymi i narodowościowymi, których przyczyny i uwarunkowania opisał, a konsekwencje w dużym stopniu trafnie przewidział.

Ta spójność przyrody, historii, talentu i niebywalej pracowitości Paukszty, stworzyła wiele niepowtarzalnych dzieł w tym to już wspomniane, najbardziej związane z moją leśniczówką *Wiatrołomy*. Na podstawie opisów zawartych w tej powieści można zrekonstruować oryginalny wygląd miejsc, które niestety po ostatnich modernizacjach, stały się może bardziej wygodne i modne, ale utraciły dawną duszę! Jego twórczość zawsze przywołuje w mojej pamięci ową „małą ojczyznę” i jej dzieje, a opisy piękna przyrody, szczególnie uroki jezior i lasów, których moim zdaniem nikt tak pięknie i realistycznie nie opisywał jak Paukszta, nadają wszelkim refleksjom wymiar bardzo rzeczywisty.

„Myśląc o tych miejscach, słusznie wyobrażamy sobie ukwiecone łąki, od których wiatr niesie miodowy zapach nostrzyku i skoszonej trawy. Słusznie przychodzą nam na myśl przejrzyste lub przeciwnie, złocące się od pyłków kwiatowych, wody jeziora, w których wypłyconych zatokach bielą się najpiękniejsze z wodnych kwiatów, lilie wodne.” Czym uwarunkowane jest to piękno? Co złożyło się na powstanie tego ewenementu? Co legło u podstaw ich dnia dzisiejszego? Odpowiedź na te pytania jest obszerna i znajduje się w niezliczonych opracowaniach naukowych, ale ich piękne opisy odnajdujemy szczególnie w dziełach Paukszty. Problemy społeczne i narodowościowe w nich zawarte są obecnie bardziej bądź mniej aktualne czy ważne, jednak opisy przyrody, w których się rozegrały, pozostaną arcydziełem samym w sobie, i to bez względu na rządzące aktualnie ekipy władzy i stosunki polityczne. W środowisku podobnym opisom Paukszty wyrosłam, dlatego też czasami odnoszę wrażenie, że jego utwory są po części jakby wzięte z mojego własnego życia.

Mijały lata, pan Paukszta szukał inspiracji w nowych okolicach kraju i za granicą, jednak jego twórczość towarzyszyła mi nadal. Przerabiałam z nią nie tylko najnowszą historię Polski, ale i dzieje powszechne. To ona zawiodła mnie do Polonezköy, po polsku Adamopola w Turcji, a zdając egzamin z przebiegu II wojny światowej na Bałkanach, grecki ruch oporu nie stanowił dla mnie merytorycznego problemu, gdyż omawiałam go, odtwarzając dzieje polskiego pochodzenia, bohaterskiego agenta wywiadu Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, którego śladami przemierzał Eugeniusz Paukszta między innymi Grecję.

Dzięki treściom dzieł Paukszty wielokroć łatwiej było przebrnąć przez trudne lata zawirowań polskiej rzeczywistości i podjąć życiowe decyzje, które dały możliwość znalezienia własnego miejsca w nieprostej, ale ciekawej rzeczywistości. Swoją twórczością przygotowywał zresztą nie tylko mnie, ale niezliczone grono czytelników mojej generacji, do dorosłego życia. Pozbawiał to pokolenie komplek-

sów, uczył historii i patriotyzmu, wszędzie szukał polskich korzeni, głębokiego uzasadnienia różnych ludzkich postaw i praw, sygnalizował konieczność nadchodzących zmian.

Rodzinę państwa Paukštów poznałam mając 7 lat, drugi etap tej przyjaźni znalazł swoje miejsce już w Poznaniu, gdzie kontynuowałam i skończyłam studia. Dlatego też w moich wspomnieniach na zawsze pozostanie nie tylko niezatarta pamięć „owej leśniczówki” i wspólnego w niej bytowania, ale również rodzicielska wręcz opiekuńczość, gościnność i dobroć państwa Anny i Eugeniusza Paukštów, którzy w tak obcym dla mnie wielkim świecie, jakim był Poznań, usiłowali utulić moją ogromną tęsknotę za ukochanym rodzinnym domem. Wówczas kiedy spotkaliśmy się po latach pan Eugeniusz patrząc na mnie, już dorosłą natychmiast, wręcz spontanicznie, udzielił mi dwu rad: Bożena, pamiętaj nie maluj się nazbyt wyzywająco i nie zmieniaj nazwiska w przyszłości nazbyt często. Przynajmniej jedną z nich traktuję, do chwili obecnej, bardzo serio. Tak naprawdę chyba dopiero w czasach poznańskich zdałam sobie sprawę, kim tak naprawdę Paukšta był, jak wiele znaczył w różnych sferach społecznych, z faktu, iż znam człowieka nieprzeciętnego.

Podjęmując pisanie pracy magisterskiej, pomocy szukałam właśnie u niego. Doradził mi to zresztą nie kto inny, jak sam promotor, prof. Czesław Łuczak, znający rozległe koneksje pana Eugeniusza. Problem był bowiem bardzo skomplikowany. Potrzebowałam mianowicie listów polecających do dwóch osobistości w Warszawie, a owi panowie, mówiąc niezwykle delikatnie, po prostu na wzajem, bardzo się nie lubili. Jeden z nich, Jerzy Ficowski, jako wybitny znawca zagadnienia, nad którym pracowałam, miał mi udzielić merytorycznych wskazówek, drugi prof. Czesław Pilichowski, ówczesny dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, dysponował dostępem do niezbędnych zasobów źródeł archiwalnych. Pan Eugeniusz wyposażył mnie więc w dwa glejty, wyraźnie podkreślając, iż dyplomacja będzie w tym przypadku bardzo wskazana, a listów nie powinnam w żadnym przypadku pomylić przy wręczaniu adresatom. Obydwaj panowie po przeczytaniu owych not polecających potraktowali mnie sympatycznie i życzliwie, pomogli naprawdę szczerze, czyniąc to w imię starej znajomości z autorem prośby. Każdy z nich, staczając zapewne ogromną wewnętrzną walkę, doradził ponadto skorzystanie z dalszego wstawiennictwa Pauksty i podjęcie próby dotarcia do drugiej z wymienionych osób. Dzięki temu wstawiennictwu i życzliwości powstała pierwsza z moich liczących się prac, w którą włożyłam wiele zaangażowania i serca. Ale nie moje serce jest tu istotne. Niebawem to serce pana Eugeniusza przestało wytrzymywać niezwykle tempo i intensywność życia, zaprotestowało wyraziście, w efekcie czego zaordynowano leczenie szpitalne. Odwiedzając chorego zastanawiałam się często, kto kogo tak naprawdę w owym szpitalu wówczas leczył, Paukšta, który wniósł do niego tchnienie normalnego życia, co w owych czasach nie było oczywiste, czy lekarze usiłujący go okiełznać? Do szpitala usta-

wiały się kolejki odwiedzających. Oczekujących na termin odwiedzin zestawiała pani Paukszta, a tworzona lista była bardzo długa i znajdowały się na niej nazwiska najznacniejszych ówczesnego Poznania, przyjaciół i niezliczonych zwyczajnych czytelników. Sam pan Eugeniusz nie uznał w żaden sposób priorytetu choroby nad pracą, nadal obserwował, oceniał, pytał i dalej tworzył. Siedząc obok jego szpitalnego łóżka w 1976 r. usłyszałam pewnego razu również pytanie: *Bożena zostaniesz w Poznaniu, czy wrócisz do lasu, przecież tak go kochasz?* Pamiętaj, wywodził dalej, miasto niszczy. Zobaczysz, za chwilę ten cały dotychczasowy teatr runie. Nieodparcie przeczuwał nadchodzące społeczne zmiany i obawiał się, że przyniosą rozlew krwi. Doświadczył przecież wojny, obozu koncentracyjnego, politycznego więzienia za udział w AK, śledził wydarzenia poznańskie 1956 r. Jego prognozy nadchodzących społecznych przemian traktowałam trochę z niedowierzaniem, jednak to, co powiedział wówczas o kontakcie z naturą i naszym w niej miejscu dźwięczy w moich uszach do chwili obecnej. Można by ująć to w następujący sposób: obcowanie z przyrodą uspokaja, sprawia, iż normalny rytm życia wkracza w zawirowania dnia i wszystko wydaje się proste. Daje wiele sił, ładuje akumulatory i nie wzbudza już lęku trudna do pokonania droga, to trud staje się naszą drogą. Jej piękno pomaga odkupić winy, znieść cierpienie i żyć mimo bagażu doświadczeń i przeciwności losu, na przekór złu i prostej logice. Przyroda się nie kończy, żyje wszędzie i nieprzerwanie, cokolwiek w niej obserwujemy, jest częścią czegoś, co już było, owego globalnego istnienia, niezbędnym elementem, który musi zaistnieć i zniknąć aby zapoczątkować nowy byt. Częstka, która pozostanie, jest już nie tylko wpleciona w naturę, ale żyje w niej na nowo. On też pozostał na zawsze jej częścią, która dzięki pozostawionym dziełom, miłości i tolerancji, której tak cierpliwie i pokornie uczył, ponownie kiełkuje. Pozostał nierozzerwalnie wpleciony w otaczającą nas rzeczywistość i pamięć **to tylko jego serce uciekło w okolice dalekie...**

Urszula Lange *Wspomnienia*

Wygłoszone 11 września 2008r. w Koczale podczas spotkania „Eugeniusz Paukszta w świadomości mieszkańców gminy Koczała”

Pierwszy raz spotkałam pana Pauksztę, kiedy byłam jeszcze dzieckiem czy osobą troszeczkę dojrzałą, bo miałam pełne skończone 10 lat. To był lipiec lub sierpień 1957 r. kiedy to po raz pierwszy państwo Pauksztowie wraz z synem przyjechali w odwiedziny do Starej Brdy, do leśniczówki moich rodziców. Tu spędzał swój urlop pan Franciszek Frąckowiak, późniejszy konsul PRL w Bratysławie, wcześniej prezydent miasta Poznania. Dowiedziałam się, że pan Eugeniusz Paukszta jest pisarzem i literatem. Ma żonę Annę i syna Dominika. Regularne

przyjazdy państwa Pauksztów zaczęły się od 1958 r. i trwały do 1961 r. Były to przyjazdy na dłuższy pobyt. Przyjeżdżali w maju i przebywali do października lub dłużej. Poczym wyjeżdżali do Poznania. O tym, że pan Paukszta naprawiał wodospad, łowił ryby, gdyż był zapalonym wędkarzem, że pisał powieści i artykuły do prasy, całe morze wspomnień zostało przelane na papier.

Zapamiętałam jego wypowiedziane w bardzo prosty sposób myśli, które docierały do mnie, młodej dziewczyny. Jego codzienne wizyty u moich rodziców. Wchodząc do naszego mieszkania zawsze pukał, wkładając głowę, pytał, czy można? Rodzice odpowiadali „Przecież pan, panie Gienku, już jest w środku”, a Paukszta odpowiadał, „Nie, bo nogi mam za progiem”. Takie były jego wejścia do naszego mieszkania. Mieszkał w drugiej części leśniczówki. W tej chwili leśniczówka leśnictwa Stara Brda jest w nowym miejscu. Stara jest we władaniu innych osób.

Był to człowiek, który lubił rozmawiać. O tym wszyscy wiemy. W moim odczuciu potrafił on przede wszystkim słuchać. Zawsze starał się być tam, gdzie są ludzie, by mieć z nimi kontakt. Zawsze wsłuchiwał się w to, o czym mówili. Znajdywało to odzwierciedlenie w jego twórczości. W tej chwili, gdy czytam jego powieści, znajduję słowa, które zostały wypowiedziane, wiem nawet przez kogo. Przecież tam przebywałam, wychowywałam się i wsłuchiwałam w rozmowy osób starszych.

Najbardziej zapamiętałam z pobytu pana Paukszty i jego rodziny to, że traktowali mnie bardzo poważnie, jako osobę dorosłą. Dlatego też częste pogawędki były nie tylko z panem Eugeniuszem, ale również z panią Anią, jego żoną. Myślę, że u sedna tego wszystkiego spoczywa fakt, że nie mieli córki, a być może chcieli ją mieć. Nic też dziwnego, że „robiłam” za ich córkę, wyjeżdżając z nimi na rozliczne spotkania literackie. Jeździliśmy wówczas po całym województwie koszalińskim. Były to miejscowości: Złotów, Radawnica, Człuchów, Piła, Słupsk i wiele innych. Kiedy wyjeżdżali na jakiegokolwiek spotkania i wieczory literackie w takich miejscach jak Uniwersytet Ludowy czy Biblioteka Publiczna lub Pedagogiczna, najczęściej zabierali mnie ze sobą. Nawet nie próbowali prostować, jeżeli ktoś pytał, czy ja jestem ich córką. Pan Paukszta w trakcie rozmów ze słuchaczami wykazywał poczucie humoru, pełnego relaksu, co stwarzało przyjazną atmosferę spotkania ze słuchaczami. To są moje wspomnienia z czasów, gdy mieszkałam razem z rodzicami.

Mam też wiele wspomnień z późniejszych lat. Moi rodzice bywali u państwa Pauksztów w Poznaniu. Również państwo Pauksztowie przyjeżdżali do nas. Ja byłam już osobą dojrzałą, mężatką i pracowałam w miasteczkim liceum. Mieszkałam w internacie liceum. W tym mieszkaniu przyjmowałam państwa Pauksztów. Pamiętam, jak syn Pauksztów, Dominik, kiedy był studentem, przyjechał na moto-

rze, nie wiem jakiej marki. Przyjeżdżał nad Brdę, by wzorem ojca łowić rybki. Pamiętam też liczną korespondencję, którą otrzymywaliśmy od państwa Paukztów – grube koperty, w których były książki z dedykacjami dla moich rodziców. Pamiętam listy informujące o wydaniu książek, w jakim nakładzie i przez kogo, kto zdrowy, a kto chory – właściwie wynurzenia prywatne.

Za pośrednictwem pana Paukszy spotykałam innych ludzi pióra. Dzięki niemu miałam możliwość poznać w swoim życiu Wojciecha Żukrowskiego. Kiedy po stanie wojennym spotkaliśmy się w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej w Pałacu Kultury w rozmowie zapytał, czy pamiętam, jak „robił” u państwa Paukztów za „Wojciechową”. Kiedy nie wydawano jego książek i tym samym został pozbawiony środków do życia, to dzięki państwu Paukszta znalazł miejsce dla siebie. Niejednokrotnie sprzątał ich mieszkanie, by się stać użytecznym, choć częściowo spłacić dług wdzięczności. Dzięki temu, że znałam pana Paukszę, miałam możliwość być obecna na Zjeździe Literatów w Koszalinie w roku 1966 lub 1967, tego dobrze nie pamiętam, i mogłam poznać Iwaszkiewicza, Putramenta, Machejka, Jana Marię Gisgesa.

Bywałam również gościem u Państwa Paukztów razem z moimi dziećmi. Dziś po latach moje dzieci wspominają, jak stojąc na balkonie u państwa Paukztów, zrywali z drzewa smaczne czereśnie. Tych wspomnień jest dosyć dużo. Zawsze pozostaną one niezatarte w mej pamięci.

Jedynym przykrym wspomnieniem jest moje uczestnictwo w jego „ostatniej drodze”. Wtedy, w maju 1979 r. po bardzo oficjalnym pożegnaniu z honorami w gmachu Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu i mszy świętej na Cmentarzu Junikowskim w Poznaniu w obecności biskupa, duchowieństwa i bardzo licznego tłumu złożono jego doczesne szczątki do grobu w Alei Zasłużonych.

Łucja Hendel **Wspomnienia**

Wygłoszone 11 września 2008r. w Koczale podczas spotkania „Eugeniusz Pauksza w świadomości mieszkańców gminy Koczala”

Pana Paukszę poznałam będąc jeszcze dzieckiem, w Starej Brdzie, gdy przebywał u Państwa Gorczyńskich. Był bardzo pracowitym i bardzo żywotnym człowiekiem. Szybko nawiązywał kontakt z ludźmi. Rozmowy toczyły się w bardzo serdecznej i przyjaznej atmosferze. O tym, że był pracowity, świadczy naprawa wodospadu na rzece Brdzie. Był zamiłowanym wędkarzem. Każdą wolną chwili-

łę spędzał nad wodą, szczególnie nad Jeziorem Zielonym. Był człowiekiem czynnym i kochającym mężem. Po całym dniu pracy, wieczorem zabierał się do pisania. Zawsze na dobranoc szedł pożegnać się ze swoją żoną. Wtedy mógł spokojnie pisać. Dla mnie jako dziecka stanowiło to wzór dobrego męża.

Miałam też możliwość gościć w domu pana Paukszty. Będąc na Studium Nauczycielskim, pisałam pracę na temat „*Młode pokolenie w powieści „Wiatrołomy” E. Paukszty*”. Miałam trudności ze zdobyciem materiałów, więc zgłosiłam się do państwa Pauksztów z prośbą, czy mogą udostępnić mi potrzebne materiały. Tak znalazłam się w jego mieszkaniu, gdzie dostałam potrzebne mi informacje i materiały. Część opracowań dostałam do domu, by się szerzej z nimi zapoznać.



Urszula Lange, Józef Pożoga i Lucja Hendel na spotkaniu „Eugeniusz Paukszta w świadomości mieszkańców gminy Koczala”

Robiąc u siebie porządki, znalazłam materiały odnośnie pana Paukszty, które mogą dać odpowiedź na pytanie, dlaczego pisał o Ziemiach Odzyskanych. Prawdopodobnie był to wywiad udzielony mi albo do jakiegoś czasopisma. Pragnę zacytować jego słowa: „*Sprawa jest złożona i zarazem prosta. Z jednej strony na długo przed wojną moje zainteresowania historyczne jeszcze w Wilnie kazały mi studiować zagadnienia historyczne związane z Kaszubami, Mazurami i Warmią czy Powiślem. Była więc znajomość zagadnienia i, co tu dużo mówić, zafascynowanie tematem. Dalsze przyczyny mają tło bardziej osobiste. Jako repatriant musiałem*

szukać w kraju własnego miejsca”. A oto drugi cytat: „Zawsze trzeba coś kochać, nie można zostawić luk w uczuciu. Zachowując prawo do tęsknoty, zarazem musi się coś kochać na bieżąco. Sumując na dziś i tę znajomość zagadnienia, i potrzebę miłości, łatwo mnie teraz odnaleźć w problematyce nadodrzańskiej i mazursko-warمیńskiej.”

O tym, że utwory E. Paukszty cieszyły się na Ziemi Koszalińskiej dużą popularnością świadczy też wzmianka w „Głosie Koszalińskim”. Autor artykułiku podaje, że na kiermaszu książek w Koszalinie najbardziej rozchwytywane powieści Paukszty to „Wiatrołomy” i „Pogranicze”. Większość nabywców to ludzie młodzi. Dobrze więc jest, że znaleźli się tacy miłośnicy, jak pan Józef (Pożoga) i inni, że ponownie starają się rozbudzić zainteresowania czytelnicze na terenie gminy Koczala.

Wspomnienia mieszkańców Starej Brdy

Na podstawie rozmów z Krystyną Kowalewską i Edmundem Kapiszka przeprowadzonych 20 września 2008 r. w Starej Brdzie na spotkaniu „Życie wpisane w Wiatrołomy”

W świadomości dzisiejszych mieszkańców Starej Brdy Piłskiej pan Eugeniusz Paukszta pozostawił wyraźny, choć niestety zacierający się ślad. Ludzie, którzy mieli z nim styczność, są już w podeszłym wieku, a minęło od tamtych czasów kilkadziesiąt lat. Niemniej jednak nawet te często krótkie spotkania wspominają z przyjemnością, rysując postać pana Eugeniusza z dużą precyzją.

Pani Krystyna Kowalewska wspomina częste wizyty na podwórzu leśniczego Gorczyńskiego, kiedy pracowała jako obserwator na wieży przeciwpożarowej w leśnictwie Stara Brda. Jej mama gotowała państwu Paukszta w czasie ich pobytów w leśniczówce. Wspomina pana Eugeniusza jako wysokiego przystojnego mężczyznę. Pamięta, że widywała państwa Paukszta na spacerach z małym Dominikiem w wózku wokół leśniczówki lub nad Jeziolem Zielonym, ulubionym miejscu do wędkowania pana Paukszty. W kontaktach z miejscową ludnością państwo Paukszta byli miłymi rozmówcami i dobrymi słuchaczami.

Robotnik leśny pan Edmund Kapiszka choć mówi, że niewiele razy miał okazję spotkać się z panem Eugeniuszem, głównie na podwórzu leśniczówki, to pamięta, jak pan Paukszta uczestniczył w organizowanej we wsi potańcówce.



Spacer po okolicy Starej Brdy śladami powieści „Wiatrołomy”. W pierwszym rzędzie trzecia od lewej pani Krystyna Kowalewska, drugi od prawej pan Edmund Kapiszka

Bożena Górczyńska Przybyłowicz ***Lesie, ojciec mój...***²

Tekst wygłoszony 4 października 2008 r. w Koczale na sympozjum poświęconym osobie i twórczości Eugeniusza Paukszty

Dzisiejsze sympozjum poprzedziście Państwo wieloma spotkaniami. Miały nam one przypomnieć problematykę książek Eugeniusza Paukszty i przybliżyć postać bohatera dzisiejszej uroczystości. Z wielu względów nie mogłam w nich uczestniczyć, ale proszę mi uwierzyć, moje myśli były wówczas z Wami. Eugeniusza Pauksztę wspominałam jednak również i ja. Rok temu w Kargowej na rozstrzygnięciu corocznego konkursu literackiego jego imienia.

Na spotkaniu tym był obecny naturalnie syn literata, Dominik Paukszta, który również dzisiaj przyjechał do Koczaly i wraz z najbliższą rodziną jest razem z nami. Tak więc nie mogę sobie pozwolić na powtórzenie tutaj wygłoszonych już

² Motyw z wiersza Bronisławy Wajs-Papuszy *Lesie, ojciec mój...*, (Warszawa, 1990).

raz refleksji. Skoncentruję się więc w moim dzisiejszym wystąpieniu na Eugeniuszu Paukszcie nie w kontekście wspomnień lecz w nawiązaniu do postrzegania przez literata tutejszych dziejów i problemów, na powieści *Wiatrołomy* i na lesie. To las nieprzerwanie emanuje z jego twórczości, a nas otacza tu z każdej strony, stając się jakby naturalnym, nie kończącym motywem naszych wspólnych przemieszczeń w czasie i przestrzeni.



Wykład pani profesor Bożeny Górczyńskiej-Przybyłowicz podczas sympozjum poświęconego osobie i twórczości E. Paukszty

Winna jestem państwu również wyjaśnienie, z jakiej przyczyny udzielono mi tu głosu. Najkrócej ujmując, myślę, że po prostu dlatego, iż Koczala i jej okolice to miejsca dla mnie szczególne. W tutejszym USC znajduje się moja metryka urodzenia, to tutaj pierwszy raz w moim życiu Rodzice przynieśli mnie do miejscowej świątyni, aby wprowadzić w krąg chrześcijańskiego świata, którą to przynależność poświadcza metryka chrztu... Jednak pomimo tych znaczących wydarzeń z mojego życia, które miały miejsce właśnie w Koczale, mojemu sercu jest jeszcze bardziej bliska odległa stąd zaledwie o niewiele ponad 10 km Stara Brda, a to ona staje się dzisiaj głównym centrum naszych odniesień. To właśnie tam przyszłam na świat i postawiłam pierwsze niepewne kroki, dopiero te późniejsze, już w pełni samodzielne, miały zaprowadzić mnie do Poznania gdzie przebywam do dzisiaj. Do chwili obecnej nie wiem, jaka jest dokładnie różnica między lasem tutejszym, a wielkopolskim, ale wiem na pewno, że kocham właśnie ten miejscowy, z Pomorza, jego nigdy się nie bałam. On pachnie inaczej, kładzie oryginalne

cienie i blaski i tym specyficznym pięknem wychowuje i uczy swoistego postrzegania ludzi i otoczenia. Tak więc chociaż fizycznie przebywam w Poznaniu, korzeniami i sercem tkwię bardzo stabilnie w tutejszej Gminie, Starej Brdzie i jej zakątkach.

To właśnie te dwie wymienione z nazwy miejscowości łączą mnie też nierozzerwalnie z osobą Eugeniusza Paukszty. W Starej Brdzie dane mi było go poznać, jego twórczość i pozycja społeczna, które wyraźnie dostrzegałam dopiero po wielu latach w Poznaniu, były dla mnie ,wówczas jeszcze małego dziecka, dalece obojętne. Do teraz zachował się więc w mojej pamięci w pierwszej kolejności jako życzliwy dzieciom, uśmiechnięty pana Eugeniusz, który nie szczędził czasu, mądrych rad oraz troski o nasze małe radości.

Dzisiaj sprowadziła mnie do Was bardzo radosna okoliczność pozwalająca ponownie poczuć uroki i piękno tego spędzonego nieopodal szczęśliwego dzieciństwa, w które jak w kadry ładnego filmu wkomponowany został Eugeniusz Paukszta i inne osoby, którym pośrednio poświęcamy obecne zgromadzenie.

W dniu dzisiejszym, jak przed chwilą usłyszeliśmy, zostaną na terenie Waszej Gminy odsłonięte dwie tablice pamiątkowe. Wykonano je w podzięce za nieoszczędzenie człowieczego trudu, aby podtrzymać i utrwalić w pamięci miejscową przeszłość oraz ciekawe, ale i burzliwe lokalne dzieje. Pomimo, iż nasze sympozjum poświęcone jest wyłącznie Eugeniuszowi Paukszcie, nie wolno nam jednakże przeoczyć symbolicznego i znamiennej splotu tych dwu odrębnych zamierzeń i intencji oraz przemilczeć ich merytorycznego, a także metaforycznego związku. Dlatego też naszą uwagę wzbudza również skromna inskrypcja w kościele w Starznie, jako wymowny znak czasu i zamię surowej historii. Obliguje nas zresztą do tego twórczość i osobowość Paukszty, jego dzisiejsza duchowa obecność wśród nas, (*a on zapewne nie zlekceważyłby takiego wydarzenia*), wreszcie i moja profesja. Gdyby Eugeniusz Paukszta kreślił dziś treść swoich listów ze Starej Brdy³, pewnie by pisał, że: odsłaniane tablice nie są tylko upamiętnieniem nazwanych z imienia osób, lecz i wynikiem działania wielu anonimowych postaci. Są one również wspinałym potwierdzeniem zaangażowania, wkładu i dbałości gospodarzy Gminy Koczała o pielęgnowanie prawdy i historii oraz troski o współczesną tożsamość tej okolicy. Bo taka postawa władz i mieszkańców regionu napawa wielkim wzruszeniem, radością i dumą, gdyż dowodzi, iż pomimo tak rozmaitego pochodzenia i cech miejscowego społeczeństwa, potraficie się zjednoczyć i połączonymi wspólnymi siłami dokonać rzeczy niecodziennych, na przykład skłonić gości nie tylko do przybycia tutaj, ale i głębokiej zadumy nad zawiłymi drogami powszechnych dziejów, wkomponowanych w nie prostych ludzkich losów i ich udziale w kreowaniu współczesności. Owe losy na przekór wielkiej polityce i

³ felietony do „Głosu Koszalińskiego”

historii znamienne się na tych terenach zbiegły i zapętleły na wzór splotu gordyjskiego węzła, stanowiąc symbol wielkiej historii i wielowymiarowej linii zwykłego ludzkiego życia. Dzisiejszy splot zdarzeń jest wyrazem tej zawłości i zarazem zjawiskiem niezwykłym w swojej wymowie, doniosłym i znamionym, do niedawna wręcz niewyobrażalnym.

Dzisiejsza uroczystość dotyczy przecież w dużym stopniu uhonorowania i upamiętnienia nie tylko literata, ale zasadniczych treści i wartości jego dzieł, a w tym wymiarze prawie równoległego działania osób, które wchodziły w czasach jego bytności w Starej Brdzie, w skład jakby innych „światów”. Bytów napiętnowanych przez skutki II wojny światowej i w jej konsekwencji przypisanej im w potężnym „politycznym szkicowniku” przynależności do różnych systemów politycznych, społecznych i ustrojowych. Jest to upamiętnienie pracy i postawy postaci z dwóch jakby odległych „planet”, które w czasach politycznego podziału i zarazem jemu na przekór, potrafiły pomimo licznych barier znakomicie wpisać się w miejscowe dzieje i żałować należy jedynie, że już od nas odeszły.

Tablica w Starej Brdzie ma przypominać oczywiście Eugeniusza Pauksztę, znanego nam już poznańskiego literata i prozaika, który odkrył i pokochał te strony nie tylko z uwagi na ich naturalne piękno, lecz właśnie umiejętność dostrzegania istoty pogmatwanych, powojennych przemian i układanych na nowo stosunków narodowościowych i społecznych. Chociaż nad życie kochał przyrodę, owa miłość nie zdołała zawłaszczyć nim tak dalece, aby zaślepić, pozbawić wrażliwości na ludzkie dylematy i przysłonić istotę ważkich wydarzeń Ziemi Zachodnich i Północnych. To właśnie wokół złożonych losów mieszkańców tych ziem miała koncentrować się przez lata jego twórczość, a miejscowa czarowna natura, przypominająca mu prawdopodobnie rodzime, wileńskie krajobrazy, wpleciona została w historię i opisywane zdarzenia. Stanowiła w nich nie tylko tło owych zdarzeń, lecz znakomitą i symboliczną część ich treści. Za sprawą ujęcia jej uroków w słowa autor, w mrocznych czasach obowiązywania politycznego kagańca wszechobecnej cenzury, sprytnie, symbolicznie i pozornie swobodnie prezentował zawile meandry historii i polityki, dzięki czemu jakby bezkarnie dowodził istnienia i konieczności przestrzegania nadrzędnych człowieczych praw i procesów, właśnie tych, które w socjalistycznym realizmie zdecydowano się wymazać z świadomego stosowania. Należały do nich ludzka dobroć i wrażliwość, solidarność i miłość, szacunek dla życia i pracy oraz wiara dająca nieodpartą nadzieję na uczciwe, pogodne i radosne jutro.

Tablica w Starznie, ogólna i bezosobowa, jednak symbolicznie dwujęzyczna, poświęcona będzie w części tym, których ślady i normy bytu Paukszta też wyraźnie na tych terenach dostrzegał, chociaż miały one zgodnie z ideologiczną wolą politycznych „decydentów” tamtych czasów zniknąć wraz z zakończoną wojenną zawieruchą i rozpaść jak domki budowane z piasku. One jednak tkwiły zapisane w

nielicznej żywej ludzkiej pamięci i porośniętych, niewidocznych już często pozostałościach dóbr materialnych. Paukszta utrwał literacko te ślady i jakby dokumentował. Skłaniało go do tego niewątpliwe umiłowanie rodzinnych stron, jego pietyzm dla historii i ludzkich praw. Uwagę swojej twórczości koncentrował jednak nie na tych którzy stąd odeszli, ale na tu obecnych. To za pośrednictwem uzyskanych od nich relacji oraz własnych wytrwałych dociekań stworzył w swoich dziełach literacki obraz zdarzeń, stanowiący swoisty pomost łączący poszczególne fazy historycznych zaszłości, pospolitości i wartości powszedniego, mozolnego dnia, ludzkiego w nim posłannictwa oraz ukochanej przyrody.

Podczas sezonów spędzonych w Starej Brdzie dokumentował prawie wszystkie ważniejsze wydarzenia tych okolic, lat, pór roku i dni. Znajduje to wspaniałe odbicie w powieści *Wiatrołomy*, która nie wyłącznie, ale najbardziej, związana jest z najbliższą nam okolicą i moją ukochaną leśniczówką. Przedstawione w niej osoby nie są literacką fikcją, to postaci, które spotkał Paukszta w tutejszej rzeczywistości. To one swoją postawą i zapałem potrafiły podołać tutejszym wielorakim trudnym wyborom tamtych czasów i dokonać spojenia rozdartych powojennych własnych oraz społecznych i narodowych ran. Pisarzowi przybliżyć zdarzenia, które on swoiście, ale i realistycznie wkomponował w swoje dzieła, łącząc ich życiorysy z przeszłością i teraźniejszością, a przyrodę z człowiekiem jako jej niezwykłym, nadrzędnym elementem. Cienie tych postaci są zapewne obecne dzisiaj wśród nas, ale my ograniczeni ludzką słabością nie potrafimy ich dostrzec. Możemy je jednakże wspaniale zidentyfikować w zapisanych strofach książki i nie stoi na przeszkodzie nawet fakt, iż Paukszta nadał bohaterom *Wiatrołomów*, zgodnie z literacką sztuką i koniecznością, fikcyjne imiona.

Nad tytułem tej powieści rozgorzała dyskusja zaraz po jej ukazaniu się. Jej rodowodu doszukiwano się między innymi w niezbyt odległej stąd miejscowości Wiatrołom, przecież to miejsce urodzenia Joanny von Puttkamer, żony kanclerza Bismarcka, argumentowali niektórzy, inni jako pierwowzór tytułu wskazywali na wiatrołom, który przeszedł nad okolicą w końcu lat czterdziestych, o którym opowiada Paukszcie, i tak już w wielu gremiach pozostało. Mnie jednak z upływem lat zaczęło nurtować pytanie, dlaczego wobec tego książka nie nosi tytułu na przykład pogorzelsko, pożar też tu był, do chwili obecnej całe połacie terenu starsi mieszkańcy Starej Brdy określają mianem spaleniska. Pożar opisał Paukszta w *Wiatrołomach*, ale książkę poświęcił innemu żywiołowi, o wiele mniej utrwalonemu w miejscowej świadomości i pamięci. Dlaczego? Jaki miał w tym cel? Osobiście nigdy nie zadałam panu Eugeniuszowi tego pytania. Moja wyobraźnia, może nazbyt rozbudowana, podpowiada mi własną interpretację zamierzeń i symboliki użytej przez autora. Mam nadzieję, że on towarzysząc nam dzisiaj duchem, nie grozi mi teraz palcem wołając, *Bożena, nie fantazuj*, lecz kiwa potakująco głową i jak zwykle serdecznie się uśmiecha, jakby mówiąc – długo trwało, ale wreszcie dorastaś do rangi zrozumienia i prostego wsłuchania w szmer lasu. Podążając

tropem wyrażonej nadziei i przywołanej wyobraźni odwołuję się nie tyle do mojej przyrodniczej wiedzy, co raczej szczególnego i nie ukrywanego respektu dla sił natury i prawideł jej istnienia. Patrząc kiedyś na Mazurach na poczynione przez huraganowy wiatr spustoszenie, doznałam szoku, widok mnie przeraził, zrobił naprawdę potężne, niezatarte wrażenie, to było coś wprost niesamowitego, krajobraz jak po wojnie.... Przypomniałam sobie wówczas słowa mojego świętej pamięci Ojca, który powtarzał, iż na zajęciach z 'surowca drzewnego' każdy leśnik powinien zobaczyć właśnie potężny wiatrołom. Powalone jedno na drugim drzewa mające naprężone gałęzie i strzały, do których dostęp jest bardzo trudny i niebezpieczny. Drewno chore, tracące na wartości, wyrabiane najczęściej jako opał z powodu powstałych pęknięć, rozłupów i odłupów, jednak nie w zupełności bezużyteczne, czy całkiem zniszczone, jak po pożarze. Można je przecież pozyskać, mimo wszystko uratować pozostałości, co nadaje nawet temu tak katastroficznemu zjawisku symbol ciągłości istnienia i życia, a nie totalnej beznadziejnej zagłady. Dlatego wytłumaczalna jest i nie zaskakuje niekiedy wręcz pewna opieszałość ludzi lasu w usuwaniu wiatrołomów. Czyż nie chcą oni po prostu dać przyrodzie kolejnej szansy? Bo to przecież przyroda włada wszelakim życiem jak dobry, mądry król, który nie marnotrawi poddanych. Może więc to tylko oni, leśnicy, dobrzy władcy lasu, potrafią zrozumieć tę cichą prośbę, że las umierając wyraziście wolała, iż nie chce odchodzić? *To cóż, że napoczęły go szkodniki. Może czekają, aby porósł mchem i porostami, bo to dla drzewa jakby pieśń nowego życia, pieśń nad pieśniami, czcząca przyrodę i jej nieskończoność, mówiąca jakby: ja zazdroszczę tym lesistym wzgórzom, mimo iż tak je poraniono...*

Czy postacie powieści Paukszty nie wykazywały cech podobnych do spustoszeń wiatrołomu? One też nie chciały zniknąć po wojennej zawierusze, połamaniu i wypaczeniu przez kolejne totalitaryzmy, które jak potężny huragan przetoczyły się przez ich życie i tę okolicę, najpierw z zachodu na wschód, by później odwrócić kierunek kataklizmu i zaatakować ze zdwojoną siłą. Ci, którzy ów żywioł przetrwali, byli często jak połamane i wydarte drzewa, nie potrafili już wrócić do prostego życiowego pierwowzoru, zaatakowały ich jak szkodnik, złe nawyki i często tylko prymitywny instynkt dyktował sposoby przetrwania. Chcieli przeżyć, pomimo wypaczeń i pęknięć, jedni słabi, inni zahartowani. Niektórzy, aby zachować egzystencję, usiłowali na własny wzór łamać innych, bezwzględnie i brutalnie, aby podobnie jak pasożyt pożywić się na rumowisku i szczątkach tych, którym przeciwności losu i upadek odebrały siły i strzaskały konary. Byli i tacy, którzy jak leżący wiatrołom organicznie walczyli o istnienie i prawo do trwania, dopasowując się niejako do nowych kryteriów. Nieliczni, pomimo iż wielokroć powaleni i ułomni, wytrzymali napór wzburzonych mocy i przeciwności losu, tak jak gdyby na wzór zachowanych z kataklizmu pojedynczych, ale zdrowych konarów.

Ten huragan przeobrażeń historycznych, który przeszedł nad tymi terenami jest w moim skromnym odczuciu porównywalny ze skutkami wiatrołomu i właśnie

stąd zrodził się, pełen pięknej symboliki i wymowy, tytuł książki Eugeniusza Paukszty. Na gruncie wiatrołomu wyrósł w konsekwencji nowy, harmonijny, ale i mieszany las, a na gruncie wichrów historii i wojny nowe pokolenia ludzi, silnych, zahartowanych, doświadczonych, gotowych na stoczenie dalszej walki i przeciwstawienie się kolejnej nawałnicy. *Bo każda gałązka wiatrołomu to jak linijka z wiersza, który opowiada na wietrze, że rosną nowe pokolenia, zdrowe silne w pewności jutra, patrzy hen poprzez konary drzew na niebo co jest przejrzyste, oczekując następnego wiatru, tęskni za wiosną która niebawem tu wróci, przyniesie roztopy i piękno przedwiośnia oraz kolejne nieuniknione żywioły.*

Las symbolizuje ziemię, człowieka, żyzność, ukrycie. Las to tajemnica, bezkresna skarbnica wrażeń, zaczarowany zespół nieporównywalnego z niczym piękna, budzącego żywy odzew w duszy małego dziecka i doświadczonego wiekiem człowieka, bo to natura wyznacza każdemu z nich odpowiednie miejsce i czas istnienia. Dla bohaterów *Wiatrołomów* las był schronieniem, zasadniczym domem, powiernikiem wojennych sekretów i ludzkich tragedii. Wędrując po nim w barwach porannego blasku słońca, w cieniach nadchodzącej nocy, nawałnic lub zimowych krajobrazów stwarzał im miejsce osobistego ukojenia i tak potrzebne nowe doznania. Był ich ojcem Czarnym Ojcem, jak pisała cygańska poetka Papusza komponując słowa jakby na wzór najpiękniejszej ze znanych nam modlitw: *Ojczy mój, lesie mój, lesie, Czarny ojczy...* ty mnie wychowałeś dałeś poczucie bezpieczeństwa, wolności i bezradności, nauczyłeś piękna i pokory oraz poczucia bezmiaru potęgi wiary, nadziei, miłości i bezgranicznej wszechmocy Boga i natury.

Józef Pożoga **Wspomnienia**

Fragmety wystąpienia wygłoszonego 4 października 2008 r. w Koczale na sympozjum poświęconym osobie i twórczości Eugeniusza Paukszty

Szanowni Państwo!

Tak się złożyło, że mogłem poznać pana Eugeniusza Pauksztę poprzez pana Gorczyńskiego ze Starej Brdy. Przy pierwszym spotkaniu, które się odbyło przed domem Państwa Gorczyńskich, zostałem przedstawiony wraz z moją żoną panu Eugeniuszowi Paukszcie. Po paru zdaniach pan Gorczyński zaprosił nas do mieszkania wraz z panem Pauksztą, prosząc go, aby przyszedł wraz z żoną Anną. Oczywiście po około 20 minutach zjawili się Państwo Pauksztowie. Po przywitaniu i przedstawieniu się, pani domu zaprosiła do stołu. Na tym spotkaniu pan Paukszta

wywarł na mnie bardzo duże wrażenie. Jego sposób bycia, prowadzenia dialogu, ogromna ciekawość poznania ludzi, spraw związanych z ich życiem, środowiskiem w którym żyją i pracują. Nie odczuwało się granicy, między nim a rozmówcą. Jak umiejętnie, a jednocześnie serdecznie, wciągał w temat, który go interesował. Nic też dziwnego, że rozmowa toczyła się swobodnie, szczerze i wartko. Kiedy moja żona dostała z okazji imienin książkę „*W Zatoce Żartocznego Szczupaka*” z dedykacją od pana E. Paukszty, po jej przeczytaniu w ciągu paru dni, autor stał się moim ulubionym pisarzem. Starłem się nabyć jak najwięcej jego książek, by je przeczytać. Miałem też kilka dedykacji na tych książkach. Niestety, często pożyczone zaginęły, nad czym mocno ubolewam. Został mi tylko jeden egzemplarz, który żona pieczołowicie strzegła. Dziś jest tutaj na wystawie.

Parę lat wstecz rzuciłem myśl, później popartą przez panią prof. Bożenę Górczyńską-Przybyłowicz i prezesa Stowarzyszenia Przyjaciół Gminy Koczala pana Janusza Zielińskiego oraz jego małżonkę Marię, by zająć się pisarzem E. Pauksztą. Po kameralnym spotkaniu u państwa Zielińskich w Starej Brdzie, cztery osoby postanowiły wrócić do przeszłości pobytu pana E. Paukszty w Starej Brdzie. Wybrano rocznicę 50-lecia pobytu i napisania powieści „*Wiatrołomy*”, którą tak mocno sobie cenimy, jako mieszkańcy tej gminy.

Już wtedy nakreślono w zarysach plan co chcemy zrobić. Mówiono o osobach i przydziale określonej tematyki dla nich. Stowarzyszenie zajmie się opracowaniem projektu pt. „Razem Pauksztę czytamy, swoje dziedzictwo odkrywamy”, zauważając, że niewiele osób w naszej gminie zna dorobek tego pisarza, a tylko nieliczni wiedzą, że w powieści *Wiatrołomy* pisarz zawarł opisy przyrody i wydarzenia, których był świadkiem, a bohaterów obdarzył losami i charakterami ludzi, których tu spotkał. Będzie to również okazja, by podczas spotkań zebrać i ocalimy przed zapomnieniem wspomnienia ludzi, którzy mieli okazję osobiście poznać autora „*Wiatrołomów*”.

W ramach wspomnianego projektu zaplanowano cykl spotkań przygotowujących do głównej części, jakim jest dzisiejsze sympozjum. Na spotkaniu w dniu 11.IX. 2008 r. odbytego w czytelni biblioteki szkolnej w Koczale na temat „*Eugeniusz Paukšta w świadomości mieszkańców gminy Koczala*”, obok życiorysu pisarza i fragmentów opisu przyrody, były wspomnienia osób, które osobiście знаły pisarza. Mówili o Nim Urszula Lange – córka pana Górczyńskiego, nauczycielka na emeryturze, mieszkająca obecnie w Miastku, Łucja Hendel z domu Zambrocka (rodzina państwa Górczyńskich) – nauczycielka na emeryturze mieszkająca w Miastku, Józef Pożoga – emerytowany kierownik szkoły w Pietrzykowie i były dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej w Koczale, pani Hildegarda Lewicka z domu Dorawa – dawna mieszkanka Starej Brdy, obecnie mieszka w Koczale i pani Maria Chamier-Gliszczyńska – mieszkanka Koczala. Był również historyk pan Marian Fryda z Człuchowa, który znał E. Pauksztę i który też pisze o tych terenach. Pani

Maria Zielińska nauczyciel bibliotekarz w Zespole Kształcenia i Wychowania w Koczale przygotowała wystawę książek pana Eugeniusza Paukszty, zdjęć i „*Listów ze Starej Brdy*”, które wygrzebałem z archiwum „*Głosu Koszalińskiego*” znajdujących się w Miejskiej Bibliotece w Koszalinie. Spotkanie było udane. Pani Urszula Lange wprowadziła ducha pana Paukszty uchylając drzwi. Rzeczywiście atmosfera była rodzinna. Widocznie wprowadzony duch pana Eugeniusza nad tym czuwał. Była kawa, herbatka i ciasto a także kwiaty dla gości.

Kiedy pewnego dnia jesienią 1958 r. zajechałem na zajęcia, które prowadziłem w Szkole Wieczorowej dla Pracujących w Starej Brdzie pan Paukszta robił coś na ganku przed domem. Po przywitaniu się zostałem zaproszony na pogawędkę. Po skończonych zajęciach zgłosiłem się około 21., pan Paukszta zaprosił mnie do pokoju na piętrze, gdzie pisał. Zauważyłem na ścianie pokoju koło okna jaskółcze gniazdo. Wiosną w nim jaskółki wychowały młode pisklęta. Utwierdziło to mnie w przekonaniu, jak mocno musiał kochać przyrodę. Natomiast obok biurka zauważyłem nieduży kopiec zapisanego na maszynie i pomiętego papieru. Sam nie czekał na pytanie, powiedział, że to tekst pisanej powieści – nie przydatny Mówił, że pracuje nocami do świtu, że cisza nocna, szum wiatru, czasem pohukiwania puchacza bardzo dobrze nastrajają go w pisaniu. Wypija przy tym pisaniu dużo kawy.

W dniu 20.IX. 2008 r. odbył się wyjazd autokarem z Koczały do Starej Brdy, by odbyć spacer śladami odnalezionymi w powieści „*Wiatrołomy*”. Spacer rozpoczął się od budynku byłej leśniczówki, w której przebywał i pisał powieść „*Wiatrołomy*” E. Paukszta w swoim pokoiku na piętrze. Co ciekawe uczestnicy wyjazdu szukali miejsca rosnącej brzozy, którą w czasie pożaru zniszczył ogień. Ustalali miejsce zamieszkania leśniczego Kondrackiego, szkoły mieszczącej się obok leśniczówki. Zajrzeli na miejsce zdarzenia, gdzie miało miejsce zastrzelenie krowy leśniczego, przez myśliwego Dylskiego, zwanego od tej chwili „*krowim ogonem*”. Bardzo nieprzyjemne określenie w etyce myśliwskiej. Następnie pospacerowali nad szumiący potok (Brdę) oraz odbudowany wodospad, gdzie pan Paukszta przetrzymywał w skrzyni złowione wcześniej ryby. Grupa przeszła przez mostek i duktem leśnym doszła do resztek murów, jako pozostałości po domku myśliwskim. Następnie udała się drogą leśną biegnąca obok pola, które zostało opisane w powieści „*Wiatrołomy*” i które stało się zarzewiem konfliktu między leśniczym Kondrackim i Watusikiem, zięciem leśniczego Wyry. Następnie uczestnicy pojechali autokarem nad Jezioro Zielone, ulubione przez pana Pauksztę. Były długie rozmowy przy ognisku toczone i kiełbaski na kijach pieczone. Szkoda że promieniami słonecznymi nie ubarwione. Było wspaniałe ciasto, herbata, kawa, a nalewka z darów lasu wspaniałe nam smakowała, zwłaszcza gdy ją pani Marysia nalewała.

Wygrzebałem ze swej pamięci epizod dotyczący Jeziora Zielonego. Pewnego jesienno-go dnia po posiedzeniu Zarządu ZNP Ogniska w Piaszczyne zapropono-

nowałem, aby odbyć spotkanie z pisarzem, który przebywa w Starej Brdziej – panem E. Pauksztą. Zarząd Ogniska propozycję przyjął i jednocześnie upoważnił mnie, abym sprawę załatwił osobiście. Zadzwoiłem do pana Paukszty. Pan Eugeniusz zaprosił mnie nad Jezioro Zielone, by razem uciąć sobie pogawędkę oraz omówić temat spotkania autorskiego. Następnego dnia po pracy i obiedzie wybrałem się motorem na umówione spotkanie. Pan Eugeniusz, kiedy mnie ujrzał, podpłynął do brzegu, gdzie stałem. Wgramoliłem się na ponton, który zakotwiczyliśmy w rzadkiej trzcinie po prawej stronie od plaży. Rozmowa toczyła się na temat wpływu przyrody i dobrodziejstwa, jakie daje człowiekowi. Temat rzeka. Jakże ciekawie mówił pan Eugeniusz. Byłem zdumiony, z jaką łatwością szło mu opowiadanie w artystyczny sposób o przyrodzie. Dziś nie jestem w stanie tego powtórzyć. W sprawie spotkania autorskiego z nauczycielami Ogniska ZNP w Piaszczyźnie uzgodniliśmy, co było do uzgodnienia i popłynęliśmy do brzegu. Pomogłem załadować ponton do samochodu. Pożegnawszy się, ruszyliśmy w drogę.



Wykład mgr. Jana Ozymko na spotkaniu „Problemy narodowościowe na terenach przygranicznych”

W dniu 25.IX. 2008 r. w czytelni biblioteki szkolnej odbyło się spotkanie z panem Janem Ozymko, nauczycielem historii z Miastka na temat „Problemy narodowościowe na terenach przygranicznych”. Dlaczego ten temat został ujęty w planie naszych działań? Ponieważ pan Paukszta w swych powieściach opisywał te problemy. Aby lepiej je zrozumieć, uznano, by naświetlić je od strony historycznej. Dziś inaczej patrzymy na te sprawy. Po skończonej prelekcji część słuchaczy

pozostała i dyskutowała w grupach. Potrzeba poszerzenia wiedzy i wymiana myśli stała się zachętą do dalszej dysputy.

Wróćmy do powieści *Wiatrołomy*. Jej akcja dzieje się na terenie leśniczówki Wiatrołomy. W rzeczywistości była to leśniczówka Stara Brda. Zimna Woda w powieści to Stara Brda, Wojciechowo to wieś Pietrzykowo, Chledzewo to wieś Brzozowo, Nadleśnictwo Borsuki to Nadleśnictwo Niedźwiady z osadą. Dalsze odległe miejscowości to: Miastko, Bytów, Szczecinek oraz jezioro Rozgwiezdy. Występujący w powieści Paweł Kondracki to pan Albin Gorczyński, Maciulak to gajowy Felski z Brzozowa, Wyra to leśniczy z Pustowa, nadleśniczy West, który zginął tragicznie na motorze, to nadleśniczy Więcki.

Charakterystyka osób wymienionych w *Wiatrołomach* jest tak dokładna, że czytając opis tych osób, każdy malarz potrafi je namalować tak, jakby je miał przed sobą. Czytelnik *Wiatrołomów* znający te osoby, widzi je jak żywe, ich sposób mówienia, chodzenia, gestykulacji. To szczególny dar tak wnikliwie umieć opisać wnętrze człowieka. Świadczy to o ogromnej wiedzy, o umiejętności podpatrywania i zapamiętania obrazów i ich łączenia w pewne akcje. Nic też dziwnego, że z przyjemnością się je czyta. Aktor sceniczny nie miałby problemu zagrania roli po pierwszym przeczytaniu tekstu.

Pan Eugeniusz Paukszta potrafił tak pięknie opisać łono natury, że porównam to do malarzy ekspresjonistów oraz precudnego śpiewu panów Paprockiego, Ohmana i Jana Kiepurzy. To piękno krajobrazów widzimy, kiedy idziemy szlakiem akcji zawartej w *Wiatrołomach*, kiedy mamy możliwość porównać stan faktyczny z opisem lub wyobrazić sobie z zamkniętymi oczami: „*Jasno już, gdzieś za lasem wschodzi słońce, kładą się tu i ówdzie jego poblaski. Głuszczyk widoczny jest w całej okazałości. Skrzydła leciutko opuścił ku dołowi, wachlarz ogona rozpiął szeroko, jak można najszerzej. Szyję naprężył, jakby wypatrywał na niebie słońca. Wspięty nad konarem sosnowym, olbrzymi, ptak potężny śpiewał. Telek, telek, telek... przy tej frazie lekko wodził głową od prawa w lewo i na powrót. A potem głowa nieruchomiła, tylko szyja naprężyła się jeszcze bardziej, przy szlifie dziób dźwigał się mocniej ku górze. Nad polaną mocny łopot skrzydeł, wielki ptak płynie ku sośnie z zachłystującym się swą miłością śpiewaniem. Trzask, rumor, pieśń milknie. Kura – z pasją głośno już rzuca Więcki- Też miała pomysł, tak manifestować wybór kochanka. Śmieje się, twarz jego jest łagodna, w oczach jeszcze to zastuchanie. Ogląda się na Pawła. Prawda, że piękne?*”

W listach ze Starej Brdy E. Paukszta przypomniał pierwszych pionierów, tamte dni. Dziś możemy powiedzieć, że była to romantyka tamtych dni – przeżywanie, zaangażowanie w odbudowę tych ziem. Ktoś powie, że materiały przedstawiające tamte dni są statyczne, martwe. My dziś budzimy tamte uczucia, czyny. Przywołujemy je po to, by przypomnieć obecnemu pokoleniu fragment historii

niedawno minionej. Pokazać starsze pokolenie, które tworzyło zręby społeczno-gospodarcze Ziemi Piastowskich. W tym klimacie i warunkach wyrosło nowe pokolenie – pokolenie wykształcone, które przyjęło to dzieło zapoczątkowane przez ich ojców. E. Pauksza marzył w swym pisarstwie o takim obrocie sprawy. Jakże radowało mu się serce, gdy znajdował w czynach i działaniu ludzi, młodzież, różne grupy społeczne, to o czym mówił. Jako człowiek pióra, zabiegał o rozwój kultury na tych ziemiach w pełnym tego słowa znaczeniu. Jak na spotkaniu z nauczycielami powiedział „*Naród bez rozwoju kultury traci swą tożsamość*”.

Następna sprawa to ludność rodzima, która mieszkała od zarania na tych ziemiach z tak zwanego pogranicza. Niemcy po wkroczeniu na teren Polski w czasie drugiej wojny światowej traktowali ich jako Polaków, czyli wrogów Niemiec. Kiedy przyszła Armia Radziecka i władza polska, traktowano ich jako Niemców, czyli wrogów Polski. Jak ci ludzie się czuli? Historycy dobrze wiedzą, jak ci ludzie walczyli o polskość tych ziem. Ośrodki polskości znajdujące się w powiecie złotowskim i bytowskim o tym dobitnie świadczyły. Ludność tam zamieszkała nie mogła pojąć dlaczego się ich tak traktuje. Na spotkaniu autorskim w Złotowie młodzież licealna podała panu Paukszcie treść komunikatu landrata z Piły, który gani władze niemieckie Złotowa że „*miast wygrywać niemczyzna ona się w złotowskim cofa*”. To daje dużo do myślenia. Ilu zginęło w obozach, ilu rozstrzelano, tego dokładnie nie wiemy. Jak brak prawdy i świadomości historycznej doprowadziło do wyrządzenia tym ludziom krzywdy nie do naprawienia. Trzeba przyznać, że byli też w tych grupach ludzie, którzy służyli reżimowi Hitlera. Jak to życiu bywa.

E. Pauksza w niejednej powieści przedstawiał ten problem. Nawoływał władze do opamiętania się. W listach ze Starej Brdy w artykule „Pożegnanie” w „Głosie Koszalińskim” z dnia 7-8. I. 1961 r. pisze: „*Tu nie ma martwoty, jest ciągle dźwiganie. Rosną mury domów, szkół, fabryk, rosną ludzie*”. Inny cytat: „*Przed paru dniami długie godziny spędziłem nad lekturą zachodniemieckich rewizjonistycznych pism podnoszących gwałt, wrzawę*”. W rzeczywistości przejawia się w tym wszystkim ton lęku, gdy Polacy wspominają w swej prasie o osiągnięciach na Ziemiach Zachodnich. Jakąż pasję budzi chociażby odbudowa Kołobrzegu, zakładane ambitne plany rozwoju Ziemi Północnych. Jaką furię wywołuje w ziomkostwach niemieckich młodość ludzi i ich plany życiowe. Cytuję: „*Czytając te wydziwiania, uśmiecham się. Bo zarazem miałem w oczach to wszystko, cośmy osiągnęli na tych ziemiach. Bo świeżo wywożę wrażenia i obserwacje z Koszalińskiego. Widzę, co już jest i co będzie niedługo. Bo mogą oni walczyć z naszymi argumentami historycznymi, mogą walczyć z naszą propagandą, nie mogą z dwiema rzeczami: a) z już nie odbudową, ale z postępującym rozkwitem gospodarczym tych Ziemi, b) a przede wszystkim z postawą ludności je zamieszkującej. Z postawą tych milionów tutaj osiadłych, wrostłych, a coraz częściej i tutaj wyrostłych. Na te argumenty nie ma odpowiedzi. I być nie może.*”

Albo z dnia 24.XI.1960 r. w artykule „*Kochana brać nauczycielska*”. Jak to nauczyciele na konferencji ZNP w Świeszynie, po części szkoleniowej, przy obiedzie uczyli się pieśni z odległej historii „*Hymn Ziemi Zachodnich*”. Pieśni tej uczył nas pan Grzegorz Maliszewski, nauczyciel z Miastka. „*Przypomniały mi się wtedy rewizjonistyczne pokrzyki z NRF. Uśmiechnąłem się nad ich bezpłodnością. Bo skoro tak czują te sprawy nauczyciele, tak się nimi przejmują, podobnie będzie reagować i młodzież i całe społeczeństwo*”. W dyskusji, jaka się toczyła po prelekcji pisarza mówiono o roli szkoły, jaką odegrała w integracji społeczeństwa przybyłego na tereny Ziemi Odzyskanych. Przybyłe na te ziemie grupy etniczne, przyniosły swe tradycje, obrzędy, swój język, wyznania religijne i wiele innych czynników, które nie sprzyjały w integrowaniu społeczeństwa. Trzeba było sporo czasu, by to wszystko splotło się w jeden organizm społeczny. Przykładem może być młode pokolenie tu urodzone i wychowane. Początkowo małżeństwa młodych zawierane były między tymi samymi grupami etnicznymi. Bo tak sobie życzyli dorośli. Dochodziło nieraz do konfliktu w rodzinie, jeżeli młodzi dobierali się sami z innych grup etnicznych. Oto inny przykład z autopsji: matka jedzie z synem pierwszoklasisty w swe rodzinne strony. Oczywiście matka czuje się bardzo dobrze tam, myśli nawet o pozostaniu na stałe. Kiedy rozmawia z synem, że zostaną tutaj, ten kategorycznie stwierdza, że nie chce tu zostać. On jedzie do swej wsi, bo tam mu najlepiej. Skutek jest taki że, syn męczy matkę nieustannie, że mają jechać do swego domu. Po trzech dniach matka jest zmuszona wyjechać do domu syna. Dziś po tylu latach trudno zobaczyć różnice w asymilacji społecznej. Wszyscy wrosli w swe środowiska i dobrze się czują. Tu jest ich mała ojczyzna. Tu żyją i pracują, tu wychowują następne pokolenia, które przejmie zarządzanie tą ziemią.

W artykule z dnia 19 – 20.XI.1960 r. Paukszta pisze „*Mam za sobą wiele serdecznych rozmów z przedstawicielami władz różnego szczebla. Z nielicznymi wyjątkami, to już nie urzędnicy, nie dygnitarze partyjni, ale właśnie gospodarze z prawdziwego zdarzenia. Po prostu zrodzili się nam gospodarze. Jak ci ludzie znają się na zadaniach, które mają realizować. Jak potrafią wciągać społeczeństwo do realizacji tych zadań, by poprawić ich byt. Jak się cieszą, że uda im się wspólnymi siłami osiągnąć założony cel. Nieraz słyszałem, jak potrafią klnąć na głupie odgórne zarządzenia. To dobrze, że klną, najlepszy dowód, że ich sprawa obchodzi, że właśnie nią żyją!*”. To właśnie дума, że wychowaliśmy takich ludzi na różnych odcinkach naszego życia. Tacy organizowali życie na tych terenach, by je szybciej zjednoczyć z macierzą. Dziś zadania te objęli ludzie już wykształceni i do tego społecznicy, lokalni patrioci.

Inny problem to pytanie dlaczego E. Paukszta pisał o tych ziemiach? Jak wiemy, przeszedł gehennę życiową: okupacja, gestapo, obóz, NKWD, szychta Woroszyłowa, przyjazd na Śląsk, Poznań, UB, tylko dlatego, że należał do ZWZ i AK. Nie zraził się przeciwnościami, jakie zgotował mu los. Był realistą i zdawał sobie sprawę z decyzji Teheranu, Jałty i Poczdamu. On jednak był wielkim patrio-

tą. Jak w rozmowie ze mną mówił „*Ziemie Odzyskane trzeba szybko zintegrować z Macierzą, im szybciej to zrobimy, tym lepiej to dla Polski*”. Dlatego podjął się w swym piarstwie pisać o tych ziemiach. Ziomkostwa w NRF atakowały Polskę siejąc ferment wśród ludności osiedlającej się na Ziemiach Odzyskanych. On pisał demaskując ich poczynania. Znał język niemiecki, więc do wydawanej przez ziomkostwa prasy wysyłał swe artykuły demaskujące ich działalność, za co go opluwano w ich szmatławcach.

Jak sam pisze w listach ze Starej Brdy w artykule „*Zielone mundury*” z dnia 23-24.XII.1960 r. „*W dłoniach ważę piękny tom właśnie mi ofiarowany, zaopatrzone serdeczną dedykacją. Tom Wiesława Grochilskiego „Skarby leśnych ostępów”, taka jakby encyklopedia wiedzy o lesie, pisana sercem i doświadczeniem. Ten dar, to cichy gest, rozumiem, sugestia, bym się bliżej związał w twórczości pisarskiej z lasami. Temat nie błahy, pięć dramatycznych bez liku, bliskość natury*”. Czyli środowisko leśne zabiegało o zajęcie się ich sprawami. Sam pisze, jak poznawał zawód ludzi związanych z lasem, ile zawdzięcza im spokoju, refleksji i zadumy, często rewizję pojęć w niejednej sprawie. Wyłania się tu postać E. Paukszty jako chłonnego wiedzy człowieka. Wiedzy tak mu potrzebnej w jego pracy pisarskiej. W artykule z dnia 19 –20.XI.1960 r. pt. „*Gospodarze*” podaje opis spotkania z władzami powiatu Miastko i dyrektorami Lasów Państwowych w Szczecinku Zygmuntem Kaczmarkiem i Koziejem, ich gruntowną znajomością tematyki leśnej. Ale też odwiedzał nadleśnictwa, leśnictwa, leśniczych, gajowych, robotników leśnych, z którymi przegadał wiele godzin. Czasem był częstowany przez nich wzmocnioną herbatką. Od nich uczył się ich pracy i ich życia.

W artykule z dnia 7-8.I.1961 r. pisze: „*Zżyłem się z Ziemią Koszalińską. Nie żegnam się z nią, mówię tylko do widzenia. Wrócę tu nie raz. Wrócę w swej powieści, która by była jak najprawdziwsza i najlepsza, tym stanowiąc podziękowanie za spotkanie tu serdeczność i gościnność, wrócę swoją osobą. I często będę wracał jako do miejsca, gdzie zostawiło się szmat serca*”. Jak pisze pani prof. Bożena Górczyńska – Przybyłowicz „*To tylko serce uciekło w okolice dalekie*”. Myślę, że ono uciekło też do naszych serc. My tu obecni na tej Ziemi, o której pisał Panie Eugeniuszu Paukszta zostawione Twe serce przyjmujemy jako relikwię. Jesteśmy zobowiązani się nim opiekować, pieczołowicie je chronić, głosić jego wielkość i szlachetność. Niechaj ono będzie dla nas drogowskazem w życiu codziennym, jak należy postępować, a przede wszystkim, jak kochać naszą małą ojczyznę koczalską, którą utrwaliłeś w *Wiatrołomach*. Niejedna wieś, gmina, czy miasto chciałyby być utrwalone w przepięknym opisie flory i fauny, ale i ludzi tu żyjących. Zwrócenie nam uwagi na postawy ludzi w tych trudnych czasach, zagospodarowanie tej Ziemi. Dzięki temu wyrosło tu młode pokolenie – światłe i zaangażowane w wieloraki nurt życia dnia codziennego. Z takich wsi jak Stara Brda wyrosła pani profesor Bożena Górczyńska-Przybyłowicz, z Pietrzykowa Gertruda Trzebiatowska (pracowała w PAN) czy z Koczały profesor Józef Kładny. Tu żyją ludzie, którzy

poświęcili całe swe życie dla rozwoju tej gminy i regionu. Nie mówiąc o tych, co odeszli. Są następcy i to godni.

Wydaje mi się, że dzisiejsza uroczystość świadczy o tym, jak drogie są ideały E. Paukszy. Bo sympozjum i odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu, w którym przebywał i pisał o naszym terenie, obecność władz i tak liczne grono przybyłych, świadczy o głębokim szacunku, jakim otaczamy E. Paukszę. Sławiąc jego imię tworzyliśmy, tworzymy i będziemy tworzyć tę piękną naszą gminę, dla nas i następnych pokoleń.

Na zakończenie chciałbym bardzo serdecznie podziękować wszystkim za zaangażowanie i realizację naszych planów związanych z E. Paukszą. Chrońmy jego wartości od zapomnienia. Szczególnie dziękuję pani profesor Bożenie, kiedyś mojej uczennicy. Jakże niezmiernie się cieszę z tego, co osiągnęła. Panu Dominikowi Paukszczie i jego najbliższej rodzinie za to, że zechcieli przybyć na nasze sympozjum, że włączyli się w nurt zadań które podjęliśmy.

Pozwolę sobie przekazać „Listy ze Starej Brdy”, które wyszukałem w archiwum Biblioteki kiedyś Wojewódzkiej obecnie Miejskiej w Koszalinie, które ukazały się w „Głosie Koszalińskim”. Przekazuję te listy jako rzecz martwą, ale świadczącą o głębokim szacunku dla pana ojca, pana i rodziny. Wiem, że nie ma ich pan w swoich archiwach, dlatego będą tym cenniejsze. Proszę je przyjąć i być przekonanym, że jesteśmy zawsze z panem i rodziną.



Józef Pożoga wręcza Dominikowi Paukszczie kserokopie „Listów ze Starej Brdy”



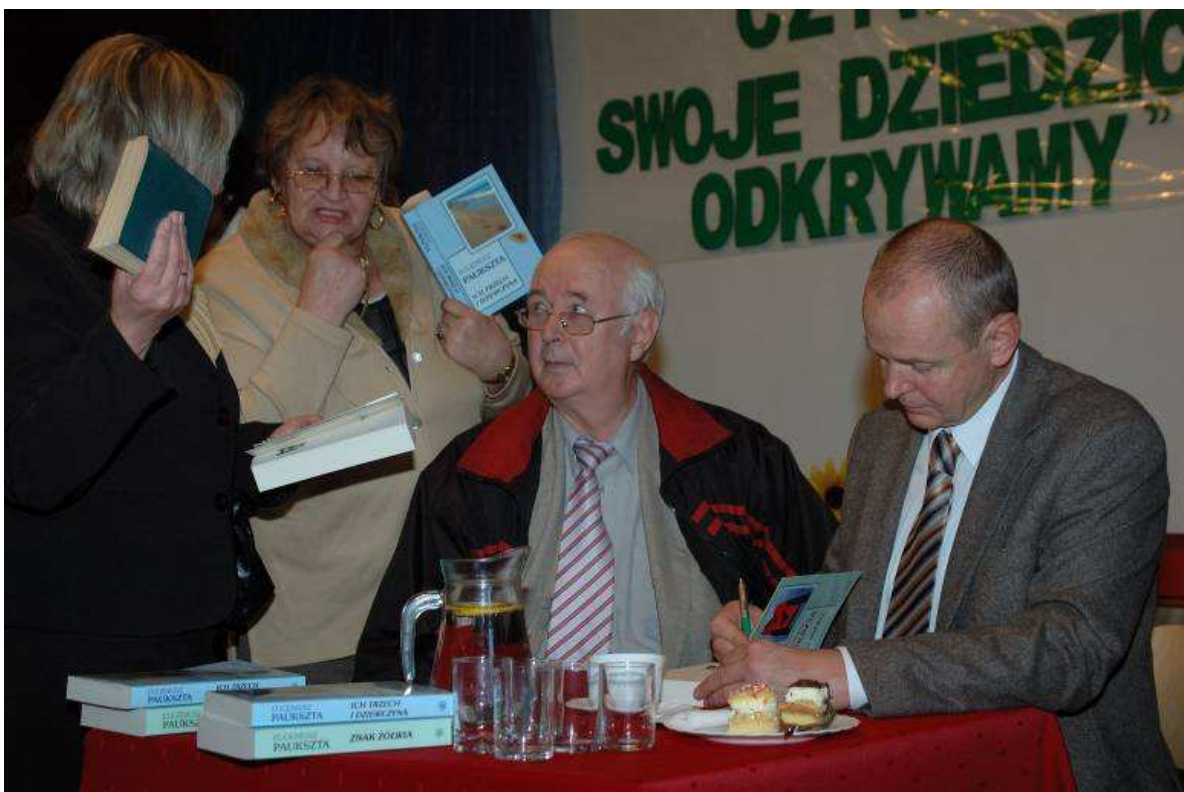
Symposium towarzyszyła po wystawa prac plastycznych uczniów szkoły podstawowej i gimnazjum w Koczale „Przyroda w twórczości Eugeniusza Paukszty”...



oraz wystawa zdjęć, artykułów i książek Eugeniusza Paukszty



Marta Stasiukiewicz odbiera nagrodę za zajęcie I miejsca w konkursie „Przyroda w twórczości Eugeniusza Paukszty” w kategorii szkoła podstawowa.



Dominik Paukszta podpisuje książki Eugeniusza Paukszty wznowione przez Wydawnictwo „Replika” i prezentowane na sympozjum. Obok siedzi dr Marian Fryda



Dawniej leśniczówka w Starej Brdziej, którą odwiedzał Eugeniusz Paukšta. Obecnie gospodarstwo agroturystyczne państwa Katarzyny i Dariusza Łęgowskich



Wizyta w Starej Brdziej i odsłonięcie pamiątkowej tablicy wieńczyły sympozjum poświęcone osobie i twórczości Eugeniusza Paukšty

Spis treści

Dominik Paukšta, <i>Środowisko życiowe i przestrzeń twórczości pisarskiej mojego Ojca</i>	4
Bożena Górczyńska-Przybyłowicz, <i>To tylko serce uciekło w okolice dalekie...</i> ...	21
Urszula Lange, <i>Wspomnienia</i>	27
Łucja Hendel, <i>Wspomnienia</i>	29
<i>Wspomnienia mieszkańców Starej Brdy</i>	31
Bożena Górczyńska-Przybyłowicz, <i>Lesie, ojciec mój...</i>	32
Józef Pożoga, <i>Wspomnienia</i>	38

W opracowaniu wykorzystano zdjęcia, które powstały podczas cyklu spotkań i sympozjum poświęconych osobie i twórczości Eugeniusza Paukšty w ramach projektu „Razem Paukštę czytamy, swoje dziedzictwo odkrywamy”.



Redakcja: Janusz Zieliński, Józef Pożoga, Joanna Myszka

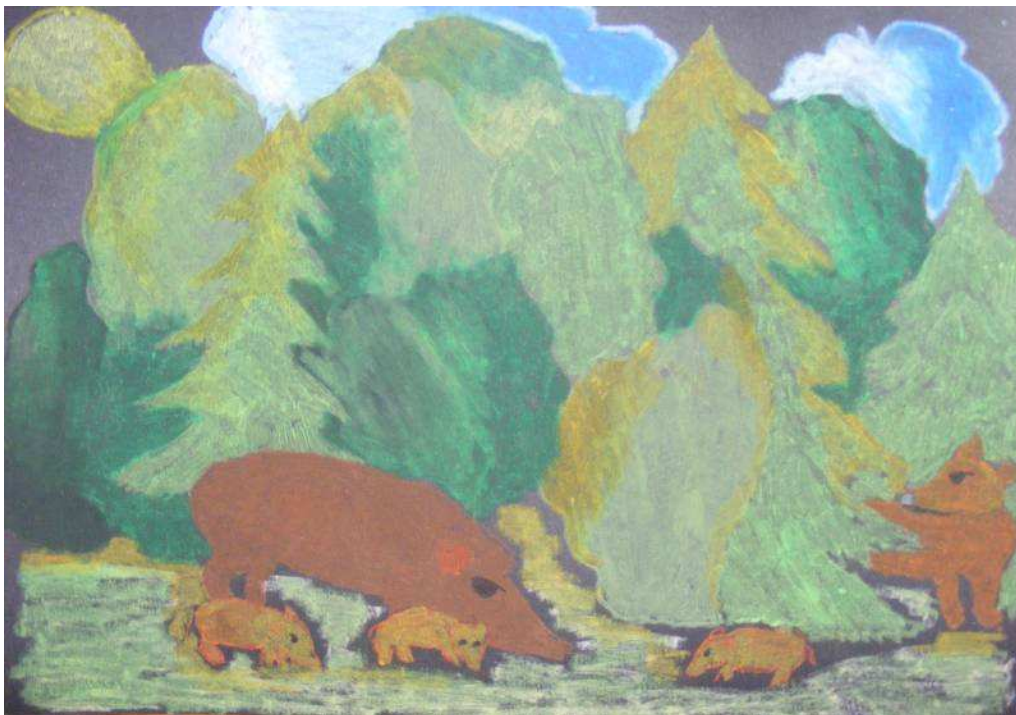
Zdjęcia: Adam Kiedrowicz (str. 14, 33, 46, 48 na dole, 49),
Jan Stasiukiewicz (str. 30, 47, 48 na górze),
Joanna Myszka (str. 41, okładka str.4),
Janusz Zieliński (str. 13 z archiwum, 32),
na okładce zdjęcie E. Paukšty z archiwum Dominika Paukšty

**Projekt „Razem Paukštę czytamy, swoje dziedzictwo odkrywamy”
zrealizowany przez Stowarzyszenie Przyjaciół Gminy Koczala
dofinansowany przez Fundację Wspomagania Wsi
w ramach konkursu „Kultura Bliska 2008”**

**Zwycięskie prace w konkursie plastycznym
„Przyroda w twórczości Eugeniusza Paukszy”**



Praca Kasi Przybył – I miejsce w kategorii gimnazjum



Praca Marty Stasiukiewicz – I miejsce w kategorii szkoła podstawowa